

Stanisław Mikke

W Katyniu i w Miednoje

Palestra 39/3-4(447-448), 6-39

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Mikke

W KATYNIU I W MIEDNOJE

„...i wyprowadził mię w duchu Pańskim:
i postawił mię w pośród pola, które było pełne
kości.

I obwiódł mię po nich w około, a było ich
bardzo wiele po polu, i bardzo suchych.

(...)

I gdy dam ducha mego w was, i gdy ożywiecie,
i gdy wam dam odpocząć w ziemi waszej...”

*Proroctwa Ezechielowe Roz. 37**

– *Nie wybieraliśmy Pierwszego Czytania na dzisiejszy dzień* – powiedział rozpoczynając kazanie biskup Piotr Jarecki. Jest 19 sierpnia 1994 r. Przeddzień zaplanowanego wyjazdu do Katynia i Miednoje. Są wszyscy członkowie ekip, przyjechali z odległych miast. Spotykamy się w siedzibie Prymasa, w Jego kaplicy. Nieukrywane rozczarowanie, że z tak ważnego powodu sam nie znalazł czasu, choć wcześniej zapowiadał swoją obecność. Biskup Jarecki to młody postawny mężczyzna. – *Nie wybieraliśmy proroctwa Ezechiela* – powtarza z przejęciem.

„...oto powstał szum i trzask, i kości jedna po drugiej zbliżały się do siebie. I patrzyłem, a oto powróciły ścięgna i wyrosło ciało, a skóra pokryła je z wierzchu (...) przybądź, duchu, i powiej po tych pobitych, aby ożyli”.

W pierwszej chwili trudno było uwierzyć, że Czytanie to wynikało z kalendarza liturgicznego.

„(...) i duch wstąpił w nich, a ożyli i stanęli na nogach – wojsko bardzo, bardzo wielkie”.

Przez barwny witraż padają długie, złote promienie zachodzącego słońca. Ale to złudny znak nadziei. Wszyscy są przekonani, że po ostatnich informacjach przekaza-

* *Biblia. Księgi Starego Testamentu z łacińskiego na język polski przełożone przez ks. Jakóba Wujka z Węgrowca. Wydanie z roku 1875 r.*

nych przed kilkoma godzinami podczas spotkania w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa nasz wyjazd stoi pod wielkim znakiem zapytania. Padły przecież i takie, ze strony rosyjskiej, słowa, że jeżeli przekroczymy granicę rosyjską, zostaniemy aresztowani pod zarzutem usiłowania bezczeszczenia grobów.

Termin wyjazdu był już wielokrotnie przesuwany. Początkowo mieliśmy wyjechać w maju. Później te daty zmieniały się co kilka tygodni. 14 sierpnia dla telewizyjnych *Wiadomości* Witold Laskowski przeprowadził w Lesie Katyńskim rozmowy z pracownikami sanatorium pulmonologicznego dla dzieci. Z oburzeniem protestują przeciwko ekshumacji. Dyrekcja sanatorium otrzymała nakaz eksmisji. Dokument ten możemy obejrzeć na ekranie w dużym zbliżeniu. Sądzę, że podobne zbliżenia są demonstrowane przez rosyjską telewizję. Kobiety krzyczą jedna przez drugą: – *Mówią nam, że rząd polski domaga się wyrzucenia nas, więc nas wyrzucają.*

Już wkrótce poznamy te kobiety, dyrektorę sanatorium, główną księgową, pielęgniarki. Usłyszymy ich krzyki i apele do naszych sumień. Będziemy też świadkami ich zaskakującej przemiany. Laskowski rozmawia również z wicegubernatorem Smoleńszczyzny Anatolijem Nowikowem. Do kamery zaprzecza stanowczo, jakoby nakaz eksmisji był wynikiem presji Polaków. Nowe sanatorium jest już na ukończeniu. Wcześniej czy później i tak doszłoby do przeniesienia sanatorium niezależnie od projektów zbudowania cmentarza.

Eksmisji sprzeciwiają się również, donosi korespondent *Wiadomości*, właściciele daczy usytuowanych w pobliżu zbiorowych mogił. Na jego pytanie, jak można żyć i odpoczywać na mogiłach odpowiadali, że cała smoleńska ziemia jest wielkim cmentarzyskiem.

Sam Nowikow, jak wynikało z rozmów osób pertraktujących z nim wcześniej w Smoleńsku, jest przeciwny ekshumacji polskich oficerów. Polacy, miał powiedzieć, stanowią znikomy procent ofiar stalinowskiego terroru. Dlaczego zatem wyróżniać Polaków? Ten argument będzie pojawiać się w Rosji bezustannie i z innych ust.

Wśród kandydatów do wyjazdu rośnie od pewnego czasu napięcie. Są różne koncepcje przeprowadzenia prac. Ich zaplanowany zakres kurczy się z tygodnia na tydzień, bo zbliża się jesień i warunki terenowe uniemożliwią ich kontynuowanie. Najwięcej kontrowersji wokół robót w Katyniu. W Charkowie i Miednoje teren już poznany. W Katyniu zaś rozpoczniemy niemal po omacku. Skąpa dokumentacja pochodzi sprzed 50 lat. Nowym dowodem są zdjęcia lotnicze wykonane przez Amerykanów w latach czterdziestych, które ostatnio przekazano Polakom. Docent Marian Głosek kierownik ekipy jest dobrej myśli, choć można się spodziewać, że Rosjanie w niczym nie ułatwią zadania, nie ujawnią dokumentów, nie wskażą miejsc spoczywania zwłok, które, wiemy o tym skądinąd, są doskonale im znane.

Nie ukrywajmy, nie brakuje też wzajemnych animozji wśród polskich ekspertów. Ale moje doświadczenia z wyjazdu sprzed trzech lat uczą, że jeśli pojawiają się nieporozumienia i konflikty, na szczęście mają ograniczony zasięg i nie wpływają w najmniejszym stopniu na przebieg prac. Obserwuję więc ostre różnice zdań z przekonaniem, że i tym razem wszystko dobrze się ułoży. W dziewięćdziesiątym pierwszym pojawiły się przecież niemałe i chyba nieuniknione tarcia wśród człon-

ków ekipy, ale na zewnątrz była ona monolitem. Wszystkich, niezależnie od odmiennych zdań i własnych ambicji, mam na myśli ściśłą ekipę, łączyła wówczas determinacja, bezprzykładne oddanie sprawie. I pragnienie wykorzystania ściśle określonego czasu na pracę przekraczającą ludzką miarę. Mogę tak pisać, mogę używać takich a nie innych słów, bo nie należałem wtedy do ekipy. Jako zatem obserwatorowi, wolno mi mówić i o tym, że tamten trud, choć przecież nie poszedł na marne, przez wielu nie został zauważony i doceniony.

Napisałem o tym nie przemilczając i rzeczy przykrych. Haniebnych, to słowo w pełni uprawnione, zachowań niektórych osób towarzyszących ekipie, które wywołały najpierw zaskoczenie a później oburzenie także wśród Rosjan. Gdy opublikowałem swoją relację w książce, znaleźli się i tacy, nieliczni, którym ujawnienie owych historii bardzo się nie spodobało. Pisała w „Rzeczpospolitej” (12–13 grudnia 92 r.) pewna pani o książce językiem zdumiewającym. Moja relacja miała dotyczyć jakiejś „wyprawy”, i dalej ironizowała: „misji – jak ją autor nazywa”, a ujawnienie, jej zdaniem „niezręcznych, niestosownych, ba... nawet nieprzyzwoitych zachowań niektórych uczestników”, uznała za „wystąpienie niegodne”.

Przypomnijmy. Chodziło o notoryczne, również przy zbiorowych mogiłach, upijanie się kilku osób (spoza ekipy), zdemolowanie motelowego sklepu, spędzanie czasu, również pogrzebu, z prostytutkami i tym podobne „niestosowności”. Nie przypuszczam, aby pani A.W.-G. stawała w ich obronie. Chodziło raczej o coś innego. O przypomnienie, na marginesie relacji, wesołej zabawy w Smoleńsku ważnego polityka, w przeddzień pobytu w Katyniu – który przewodniczył pierwszej polskiej delegacji państwowej na tak wysokim szczeblu – jako zachowania, świadczącego również o braku odpowiedzialności i dającego najgorszy przykład. Gdzie indziej – jak sądzę – podobny incydent zakończyłby karierę osoby publicznej. U nas, różnymi sposobami, zadbano o zbagatelizowanie sprawy. Nie pozostaje to, niestety, bez dalekosiężnych skutków.

Zaskakujące reakcje miały mnie nie ominąć i tym razem. Trzy lata wcześniej przekazywałem relacje z Charkowa dla polskiej sekcji zagranicznego radia. Mimo innych propozycji czułem się w obowiązku poinformować o ponownym wyjeździe przede wszystkim to radio. Dyrektor, człowiek o znanym nazwisku, powiedział, że ich ta sprawa już nie interesuje. Prawdę powiedziawszy w pierwszej chwili pomyślałem, że nie zrozumiał, choć połączenia z tą stolicą są bardzo dobre. – *Pan rozumie* – kontynuował, upewniając mnie, że nie przesłyszałem się – *nas nie obchodzi wykopanie jakiegoś dołka (!) Weszliśmy na wyższy pułap. Wyższy pułap – powtórzył – politycznych uwarunkowań.*

Cóż, pozostała gorzka refleksja, jak uwikłania w bieżące polityczne rozgrywki, a w innym wypadku bezkrytycznie pielęgnowane sentymenty do polityków potrafią sprowadzać na manowce. I chociaż gwoli sprawiedliwości należy dodać, że ów dyrektor-radiowiec dość szybko się zreflektował i po kilku dniach za pośrednictwem innej osoby nawiązał ze mną kontakt, wyrażając najwyższe zainteresowanie tematem, co przekazał również wszystkim podwładnym, to niesmak i niechęć do współpracy z nim pozostała.

Dlatego odbierając z rąk przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – Stanisława „Orszy”-Broniewskiego, podczas godnej uroczystości, akt powołania mnie w skład ekipy ekshumacyjnej odczuwam – myślę, że było to również udziałem innych – szczególnego rodzaju wyobcowanie. Jakbyśmy wszyscy, zaangażowani w tę działalność, trwali w kręgu spraw spychanych przez prąd historii, spraw w sposób niedostateczny docenionych i utrwalonych w zbiorowej świadomości.

To było jeszcze jedno, naiwne, złudzenie, w ramach nadziei, że w wolnej Polsce zmieni się wszystko, a przynajmniej zmieni się wiele, pamięć zaś o pomordowanych w Katyniu, Charkowie i Twerze będzie jednym z istotnych elementów tożsamości narodowej.

Tak się dotychczas nie stało. Z wielu powodów. Również dlatego, że za wysiłkami nielicznych, m.in. Tomasza Lisa – dyrektora Departamentu Konsularnego i Wychodźstwa MSZ, nie stały, to trzeba powiedzieć, żadne państwowe i inne władze, ani nie opowiadali się z należytą siłą ci, którzy są odpowiedzialni za kształtowanie i wyrażanie opinii społecznej. Powszechnie znana opieszałość, pozostaliśmy przy tym określeniu, ludowego premiera i jego otoczenia zaowocowała tym razem niepowoływaniem przez wiele tygodni pełnomocnika rządu, do czego polska strona się zobowiązała. Rosjanie z tego przynajmniej się wywiązali. Niezwłocznie wyznaczili wiceministra kultury Wiaczesława Briagina. I szermowali argumentem przy całkowitej bierności Urzędu Rady Ministrów: *Nasz człowiek nie ma z kim w Polsce rozmawiać.*

Na nic zdawały się wielokrotne przypominania o sprawie przez Andrzeja Przewoźnika – sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który dwoił się i troił. Stefan Śniezko – zastępca prokuratora generalnego został mianowany przez premiera przewodniczącym rządowej Komisji ds. Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Katyńskiej dopiero 19 sierpnia, w czasie gdy trwała msza w kaplicy Prymasa mająca poprzedzać wyjazd, a wokół ekshumacji zaczęła się tworzyć atmosfera afery.

Jeśli ktoś przypuszczał, że nie przywiązywanie należytej wagi do sprawy katyńskiej u nas, nie odbije się na stosunku Rosji do idei ekshumacji i założenia polskich wojskowych cmentarzy, to był pozbawiony wyobraźni w stopniu niewybaczalnym. Skutki tego spadły także na nas. Na garstkę ekspertów, którzy dotarli wreszcie do Katynia. Już następnego dnia pozostawiono nas samych sobie, bez opieki przedstawiciela dyplomatycznego, narażając na najrozmaitsze upokorzenia. Zaczęto utrudniać nam życie i prace na każdym kroku.

Jeszcze przed wyjazdem dowiadujemy się, że wiceminister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej wezwał panią Agnieszkę Magdziak, chargé d'affaires, zastępującą ambasadora Cioska i usiłował ją rugać. Miały padać takie sformułowania: – *Co też Polacy sobie wyobrażają.* Wiemy też, że Rosjanie nie wyrazili zgody na rozpoczęcie ekshumacji, lecz jedynie na prace sondażowe. Wyjeżdżamy 3 września sprzed gmachu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Z oficjalnych przedstawicieli władz państwowych przyszedł wyłącznie Stefan Śniezko. Stanisław „Orsza”-Broniewski, wzruszony żegna nas kilkoma prostymi ciepłymi słowami. Mówi też o niepokoju, który będzie towarzyszył i jemu, który zostaje: – *Będziemy nastuchiwać wieści od was, zwłaszcza z Katynia.*

Pogoda ciężka. Pochmurno i parno. Jedziemy nieklimatyzowanym, ale w miarę przyzwoitym autokarem. Za nami ciężarówka ze sprzętem i prowiantem. Oba pojazdy użyczone przez MSW. To zasługa wiceministra Jerzego Zimowskiego. Kierowca autobusu powiesił sobie, trudno zgadnąć czy celowo na ten wyjazd, maskotki – dwa plastikowe dyndające kościotrupy. Jadą eksperci, którzy zostaną w Katyniu i ci, których czeka dalsza droga do Tweru. Granica polsko-białoruska: Terespol–Brześć. Setki samochodów ciężarowych i osobowych. Formalności trwają półtorej godziny. To bardzo krótko. Dyplomatyczny paszport i energiczna postawa Andrzeja Przewoźnika ułatwiają wiele.

W jednym z pomieszczeń białoruskiej służby granicznej dobrze widoczna płasko-rzeźba Feliksa Dzierżyńskiego.

Zmienia się krajobraz. Socjalistyczne, w opłakanym stanie bloki mieszkalne Brześcia. Dopiero na przedmieściach wielkie osiedle jednorodzinnych domów, a w zasadzie pałaców w eklektycznym nowobogackim stylu. Później ogromne pola po zbiorach. Wielkie stada brudnych krów. Widać, że to wielkie państwowe gospodarstwa rolne.

Zatrzymujemy się w motelu kilkanaście kilometrów przed Mińskiem około godziny dwudziestej. Nikt, chciałoby się powiedzieć, oczywiście nikt z ambasady ani konsulatu nas nie oczekuje.

Motel przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Sufity w pokojach czarne od za-grzybienia. Wokół kręcą się podejrzane postacie. Strach pozostawić samochody nawet na strzeżonym parkingu. Andrzej Przewoźnik decyduje, że autokar i ciężarówka pojadą przed polską ambasadę. Ulica strzeżona przez milicję, ale mimo to kierowcy otrzymują polecenie czuwania w nich na zmianę.

Rano o godzinie ósmej wszyscy są już gotowi. Przyjechał jakiś mężczyzna z konsulatu polskiego. Brakuje tylko jednego dziennikarza. Złe doświadczenia z dziennikarzami z poprzedniego wyjazdu spowodowały ograniczenie tym razem ich udziału. Ktoś idzie do pokoju redaktora. Okazuje się, że dopiero się obudził. Czekamy pół godziny. Dochodzą informacje, że właśnie się kąpie. Oczekujemy nerwowo, bowiem Andrzej Przewoźnik otrzymał od pani ambasador, profesor Elżbiety Smółko, pismo z prośbą o bezkolizyjne przekroczenie granicy białorusko-rosyjskiej. Jest na tym piśmie odřejna adnotacja szefa urzędu ceł Białorusi, polecająca szybką odprawę. Musimy jednak dotrzeć do granicy przed 13.30, bo tylko ta zmiana celników wie, że trzeba nas odprawić poza kolejnością. W kolejce trzeba zaś czekać piętnaście godzin. Najpierw jednak należy stanąć grzecznie i poczekać, aż któryś z celników do nas podejdzie. Zostaliśmy ostrzeżeni, kierowcy TIR-ów byłiby gotowi nas rozszarpać.

Na granicy, która prócz kolejek samochodów niczym nie przypomina granicy państwowej, po kilkakrotnym okazaniu „bumagi” jesteśmy szybko odprawieni przez Białorusinów. Również Rosjanie nie czynią zbędnych formalności. Trzy godziny później jesteśmy w Smoleńsku.

Po południu odprawa „katyńczyków”. Zalecenia: nie nadużywać słowa ekshumacja. Nie nosić przygotowanych plaketek z tym słowem i godłem polskim. Nie

drażnić miejscowych władz. Niechętnie, źle nastawionych. Ekipą katyńską kieruje docent Marian Głosek, doświadczony archeolog z Polskiej Akademii Nauk w Łodzi. Widać na jego twarzy napięcie. Oczekiwanie, co przyniesie następny dzień nie pozwala odczuwać zmęczenia podróżą. Długa nocna rozmowa.

5 września wstajemy wcześnie. Jest jeszcze ciemno. Czekamy w hotelu na wyniki rozmów z lokalnymi władzami. Pojechali Andrzej Przewoźnik, Marian Głosek i przybyły z Moskwy konsul Stanisław Łukasik, młody, energiczny człowiek. Liczymy, że o dziesiątej ruszymy na miejsce prac. Tymczasem rozmowy przedłużają się. Nasi ludzie wracają o trzynastej. Pierwsze słowa, jakie od nich usłyszę to: – *Nie jest dobrze*. Dowiadujemy się, że przed budynkiem władz smoleńszczyzny pojawiła się pikietą około dwudziestu osób z czerwonymi sztandarami z sierpem i młotem. Wznoszono okrzyki: *Ręce precz od Katynia*. Pojawiają się, rzecz jasna, pytania. Kto powiadomił tych ludzi, że akurat o tej godzinie będą toczyły się rozmowy? Kto inspirował podobne ekscesy? Przedstawiciele władz Smoleńska informują, że powinniśmy spodziewać się podobnych pikiet przed hotelem i w Lesie Katyńskim. Andrzej Przewoźnik mówi, że rozmowy przebiegały w bardzo, oględnie mówiąc, nieprzychylnej atmosferze. W pewnej chwili urzędnik rozmawiający z naszą, bądź co bądź wysokiego szczebla, delegacją wyszedł, rzekomo na chwilę do kolegi. Ta chwila przeciągnęła się do godziny. *Można było trzasnąć drzwiami i wyjść* – mówi Przewoźnik. – *Ale byliśmy cierpliwi*. Później inni rozmówcy pokazali uchwałę poprzedniej Dumy Smoleńskiej, zdominowanej tak jak i obecna, przez komunistów. Rejon Lasu Katyńskiego uznano za... Ścisły Rezerwat Przyrody. Rosyjski rozmówca powiedział, że gdyby zatem znalazł się jakiś kazuista, mógłby zakwestionować zgodę na ekshumację. Ale oni, władze administracyjne, niczego jeszcze nie przesądzą. Jutro ma się zebrać Duma. – *Teoretycznie może ona nie wyrazić zgody na prace sondażowe* – twierdzi Andrzej Przewoźnik. – *Ale raczej nie odważą się sprzeciwić*. To się miało okazać prawdą, zdecydowano się na szykany.

Godzina 13.17. W pełnej napięcia atmosferze wsiadamy do „biedronki”, żółtego rozklekotanego autobusiku. Mój współlokator z hotelowego pokoju mówi, że musi wziąć relanium, zjeżdżając windą dostał bóleści. W autobusie panuje cisza. To, że jadę po raz pierwszy do Katynia przestania inne, mogące pojawiać się emocje.

Po dwudziestu minutach mijamy Dniepr, płynący wśród licznych rozlewisk. O 13.45 zatrzymujemy się. Po obu stronach szosy las. Na drodze osobowe samochody, sporo mężczyzn w ciemnych garniturach z marsowymi minami. Już na początku okazuje się, że nasza ciężarówka ze sprzętem nie może być rozładowana, gdyż nie ma gdzie go złożyć. Brak też osób do pilnowania czegokolwiek. Komisarz Tomasz Jabłoński, ekspert z Komendy Głównej Policji i archeolog z Gdańska, Mirosław Pietrzak jadą gdzieś (jak się później okazało, do bardzo odległej, na drugim końcu Smoleńska, bazy samochodowej), aby przeladować część sprzętu i prowiant dla ekipy katyńskiej. Autokar i ciężarówka pojedą bowiem zaraz do Tweru.

Uruchamiam kamerę. Niektórzy Rosjanie odwracają twarze, inni schodzą z pola widzenia, niechętnie przyjmują tego rodzaju dokumentację.

Ruszamy w Las Katyński.

Po dwustu, trzystu metrach zastępuje nam drogę duża grupa kobiet. Niektóre w białych fartuchach pielęgniarek, inne z małymi dziećmi.

Kobieta w średnim wieku o inteligentnej twarzy występuje do nas w dramatycznych słowach. Apeluje do naszych sumień. Jest wyrazicielką – mówi – matek i żon.

– *Poniechajcie swoich zamiarów. Nie prowadźcie do likwidacji sanatorium, w którym leczą płuca dzieci z najbardziej ubogich rodzin. Jeśli przekopiecie 95 hektarów, to wszystko tu zniszczycie* – podminowanym głosem włącza się druga kobieta, młoda o regularnych, ładnych rysach. Twarz jednak zacięta. Jak się można domyślać z kierownictwa sanatorium. Z tłumu kobiet padają nieprzyjemne uwagi i komentarze. Jest chwila, w której kobiety przekrzykują się jedna przez drugą.

Wreszcie dopuszczony do głosu zostaje Andrzej Przewoźnik. Myślę, że podejmuje zbędny trud. Tych ludzi, tych rozjątrzonych kobiet nikt i nic nie przekona. Pracowano nad tym, przypuszczam, dość długo.

Andrzej Przewoźnik, trzydziestokilkuletni mężczyzna o młodzieńczej aparycji, z wykształcenia historyk, interesujący się zwłaszcza historią wojskowości i II wojną światową, od września 1992 r. jest sekretarzem generalnym Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Główny ciężar zorganizowania wyjazdu ekip do Katynia, Miednoje, a także, w tym samym czasie, do Charkowa, spoczywał właśnie na nim. Patrzyłem z niepokojem, jak teraz da sobie radę z tym rozhisteryzowanym tłumem kobiet, mających zresztą za sobą grupę lokalnych barczystych dostojników, o twarzach twardych, niekryjących się z niechętnym stosunkiem do kilkunastu Polaków. Myślę, że to była jedna z chwil decydujących o losie naszej misji. Trudno byłoby sobie wyobrazić prowadzenie prac, gdyby te kobiety podjęły jakąś blokującą akcję. Sądzę, że przy obojętnej bierności służb porządku publicznego. Przecież nie można siłować się z kobietami – argument dość mocny. Przewoźnik mówi spokojnie, rzeczowo, chociaż widać ogromne napięcie. Wyjaśnił, że nie jest naszym zamiarem przekopanie 95 hektarów i nigdy takich planów nie było. Chodzi o teren około 2 hektarów. Ze strony polskiej nie było żadnych żądań dotyczących likwidacji sanatorium, położonego zresztą w dość znacznej odległości od mogił. Wyjaśnił, kim były ofiary, których zwłoki tu, w katyńskiej ziemi spoczywają. A w związku z ich apelem, jako żon i matek: – *Pragniemy – powiedział – spełnić obowiązek zarówno wobec naszej Ojczyzny, ale także wypełnić obowiązek wobec wdów, dzieci i wnuków ludzi tutaj pomordowanych.*

Chwila ciszy. Zabiera głos wicegubernator Anatolij Nikołajewicz Nowikow. I w tym momencie stała się rzecz, którą było trudno przewidzieć.

– *Co to za kłamstwa?* – Padają krzyki ze strony kobiet. – *Cóż nam tu wmawiano o tych blisko stu hektarach? O żądaniach wyrzucenia dzieci z sanatorium.*

Nowikow nie bardzo daje sobie radę. Czerwona twarz, stara się przekrzyknąć tłum: – *Tu jest cmentarz. Nie będzie leczenia dzieci na cmentarzu.* Któraś z kobiet woła: – *A wam, komunistom, trupy nie przeszkadzały odpoczywać? Wam, panie Nowikow, nic nie przeszkadzało tu przyjeżdżać. Wy przecież też tu „oddychaliście”.*

Wicegubernator mówi, że on tu nigdy nie wycoczywał. I dodaje, że syn by mu na to nie pozwolił, w czym nie bardzo można doszukać się sensu.

– *To co* – wołają dalej kobiety – *kim wy jesteście? Dopiero Polacy musieli przypomnieć, że tu jest cmentarz?*

Nowikow: – *Jesteśmy im za to wdzięczni, ale chcemy uczcić pamięć i Polaków, i „pribałtyków”, wszystkich. W sanatorium* – odpowiada na agresywne pytania – *będzie muzeum totalitaryzmu.*

– *Po co nam jeszcze jedno i to takie muzeum?* – pyta zaczepnie dziennikarz z rosyjskiej telewizyjnej „Panoramy”.

– *Ku przestrodze* – odpowiada wicegubernator.

Zmiana w nastawieniu kobiet do naszej tu obecności okazała się trwała. Można śmiało powiedzieć, że od tamtego momentu stosunki nasze stały się serdeczne. Wiemy też, że swoją postawą i oburzeniem, co wkrótce z powodu ich okłamywania zademonstrowały gdzie indziej, odegrały znaczącą rolę w postanowieniach władz lokalnych, które umożliwiły nam w końcu pracę.

Słowna utarczka trwała długo. Nowikow, jak każdy człowiek w opałach, nie wzbudzał już żadnych innych uczuć, jak tylko odruchowe współczucie. Musiał zmagać się z wrogością swoich rodaczek do władz, które uosabiał.

Wreszcie ruszamy do krzyży. Tu, w pobliżu mogił, spotykamy Jędrzeja Tucholskiego i Zdzisława Sawickiego, powszechnie znanych z zaangażowania w sprawę Zbrodni Katyńskiej. Przyjechali do Smoleńska nocnym pociągiem i zaraz udali się do Katynia.

Zamieszanie, hałaśliwy tłum, wszystko to sprawia, że widok miejsca kaźni nie wywołuje spodziewanego wcześniej przeżycia. To będzie przychodzić niespodziewanie, podczas prac i w chwilach odpoczynku, jako bolesne iluminacje. Wzrok niemal bezwiednie zatrzymuje się wtedy na starszych drzewach, tych niemych świadkach historii, jakby mimo swej niemocy mogły przekazać nieznaną prawdę o tamtym czasie.

Przed wieczorem odjeżdża do Tweru grupa ekspertów pod kierownictwem profesora Bronisława Młodziejowskiego wraz z Andrzejem Przewoźnikiem i konsulem Stanisławem Łukasikiem. Zostajemy sami. Jest nas jedenastu. Szef ekipy archeolog doc. dr hab. Marian Głosek, profesor dr hab. Roman Mądro – specjalista z zakresu medycyny sądowej, dr Maria Magdalena Blomberg, Mirosław Pietrzak oraz Wojciech Śmigielski – archeolog, dr Marek Dutkiewicz historyk-falerystyk, znawca mobiliów, Stefan Pedrycz, szef lubelskiego PCK oraz lekarz medycyny Przemysław Mądro.

W skład ekipy wchodzi też topografowie wojskowi z Wojskowego Ośrodka Geodezji i Teledetekcji – major Adam Kazik oraz kapitan Waldemar Kubisz. Przez kilka dni będą jeszcze z nami pracować Zdzisław Sawicki – Kustosz Muzeum Katyńskiego w Warszawie (przy ul. Powsińskiej 13) i Jędrzej Tucholski pracujący w tym Muzeum, autor licznych opracowań, w tym monumentalnej pracy *Mord w Katyniu**.

Wieczorem pierwszego dnia wychodzimy w ośmiu do miasta. Na poczcie chcemy kupić znaczki na listy. Sprzedawczyni, niebrzydka dziewczyna w okularach, podaje zestaw dużych znaczków, każdy po 100 rubli. Aby wysłać list do Polski trzeba zakleić nimi kopertę po jednej i drugiej stronie tak, że nie byłoby już wolnego miejsca na adres. Próbujemy uprzytomnić to panience z okienka. Odpowiada, że

* J. Tucholski: *Mord w Katyniu*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1991 r.

przecież to widzi, nie jest głupia. No to, jaka jest rada, żeby wysłać list do Polski? Nie ma żadnej, bo innych znaczków po prostu nie posiada.

Przed dziewiętnastą, w hotelu, dowiadujemy się od profesora Mądro, że mamy odcięty kontakt z Warszawą a nawet Moskwą. Potwierdza to Marian Głosek. Poprosił hotelową telefonistkę o połączenie z Warszawą, po kilkunastu minutach przekazała, że administrator hotelu zakazał łączenia. To samo powtórzyło się gdy poprosił o połączenie z numerem ambasady polskiej w Moskwie. Wcześniej dzwonił natomiast Nowikow z informacją, że w Katyniu nie będzie rosyjskich żołnierzy, którzy mieli wykonywać prace fizyczne, co było znacznie wcześniej uzgodnione. Tymczasem Moskwa miała go powiadomić, że wojsko odmówiło ich oddelegowania, bo to nie sprawa wojska. Niech się tym zajmuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Będzie się zatem starał o żołnierzy z jednostki MSW.

O dwudziestej pierwszej telefon z ambasady. Dzwoni ambasador Stanisław Ciosek. Prosi, żeby się niczym nie przejmować. Szukał w Moskwie Briagina, pełnomocnika rządu rosyjskiego do spraw Zbrodni Katyńskiej, ale nie mógł go namierzyć. Dowiedział się, co prawda, gdzie jest ów pełnomocnik, lecz rozmowa okazała się niemożliwa. Nie wyjawiał z jakich powodów. Jutro na pewno będzie z nim rozmawiał. – *Trzymajcie się* – mówi Głoskowi.

Głosek, Tucholski i Sawicki wychodzą z hotelu. Udają się do zaprzyjaźnionych ludzi w Smoleńsku. Z ich domów udaje się dodzwonić do prokuratora Śniezki, powiadomić o sytuacji. Zaraz po ich powrocie w ciągu pół godziny dwa telefony od Stanisława Cioska. Stara się nas podtrzymać na duchu, uspakając. Widać zdaje sobie sprawę z tego, na co się w Smoleńsku zanosi. Decyduje, że przyjedzie I sekretarz ambasady, najlepszy, jak stwierdził, z dyplomatów, których ma do dyspozycji. Zostanie z nami cały czas.

Rozmawiamy do późnych godzin. O szóstej, w ciemną jeszcze noc wstajemy. O siódmej śniadanie. Obsługiwani przez dziwnie niezaradnych kelnerów tracimy trzy kwadransy. O ósmej ma być podstawiony samochód, którym pojedziemy do Katynia. Czekamy. 8.30, nie ma samochodu. Nie pojawia się też zapowiedziana pikietka. Głosek dzwoni do Nowikowa. Wreszcie o dziewiątej podjeżdża zdezelowany, obskurny pojazd. Najpierw jedziemy do bazy samochodów w odległy koniec miasta, skąd zabieramy część najbardziej niezbędnego sprzętu.

Docieramy do Katynia o dziesiątej. Zaraz po wejściu do lasu podchodzi do nas kobieta w średnim wieku.

– *To nasz las, co to znaczy, co wy tu zamierzacie robić?*

Któryś z członków ekipy spokojnie wyjaśnia. Kobieta tłumaczy, że jest z gospodarstwa leśnego i troszczy się o ten las. Nie jest agresywna. Wkrótce odchodzi i później już jej nie zobaczymy.

Teraz zapoznajemy się z terenem. Porównujemy zdjęcia z 1943 roku wykonane przez Polski Czerwony Krzyż i Niemców. Głosek wyjmuje zdjęcia wykonane przez lotników amerykańskich. Z trudem identyfikujemy niektóre miejsca. Najłatwiej oznaczyć drogi w terenie. Próbuje ustalić miejsce prowizorycznego posterunku, gdzie dokonywano ostatniej rewizji. Szukamy śladów dołów śmierci.

To rzeczywiście był las, jakieś leśne zabudowania, i jeszcze sprawdzano ich nazwiska, coś im zabierano, nie pamiętał co, lecz coś zabierano na pewno i rozdzielano na grupy, może po pięciu, a może po dziesięciu nawet, też nie zapamiętał tego dobrze, a potem była znowu droga przez las.

Tę drogę zapamiętał lepiej. Mokry piasek przesypany tu i ówdzie cienką warstwą igliwia, szeleszczący, chrupiący pod szybko rozmiękającymi podeszwami butów i siekący w twarze deszcz i wiatr, który przewiewał ich do szpiku kości, szumiące drzewa po obu stronach drogi, a może tylko leśnej przesieki i ciemność, w której gdzieś w głębi posłyszeli warkot motorów ciężarówek lub traktorów i przez mgłę, przez ten deszcz dostrzegli przebłyskujące z dala światła (...)

Zapamiętał bieg coraz prędszy, coraz bardziej zadyszany, tak że niektórzy z nich padali, i że padających podrywano do nowego biegu brutalnie kołbami, inni zaś się opierali, i tych, co się opierali, bito i krępowano linkami, ściągając do tyłu ręce. (...) nie była to już droga wśród lasu, ale to szersze, otwarte miejsce, do którego ich dognano, polana być może albo przestrzeń wyrębana z drzew, to ciemność rozjaśniały reflektory stojących na skraju dwóch ciężarówek albo traktorów; nie rozpoznał dokładnie, a może rozpoznał, lecz nie zapamiętał, bo wtedy wszystko odbyło się błyskawicznie. Wpędzono ich w dwuszereg stojących tam mężczyzn i gnano przez ten dwuszereg, a oni, ci stojący po obu stronach mężczyźni chwyтали każdego z nich pod ramiona, wlekli siłą do przodu i skądś zaraz z tyłu padał strzał*.

Czy tak właśnie było? Włodzimierz Odojewski zawierzył wyobraźni, własnej pisarskiej intuicji. Czy zatem ta literacka wizja dotyka prawdy? A może z nią się rozmija? Te pytania najprawdopodobniej pozostaną już bez odpowiedzi. Przybyliśmy jednak po to, by dokopać się części prawdy, spełnić nierealne pragnienia bohatera Odojewskiego: Bo on szukał mógł swoich towarzyszy (...), którzy zostali gdzieś zastrzeleni, niektórzy zaś nie dobili i żywcem pogrzebani. Miał nadzieję te mogiły odnaleźć...

Jeszcze raz przypomnijmy powszechnie znane fakty. Na zbiorowe mogiły polskich oficerów więzionych w obozie w Kozielsku natrafili Niemcy i większość ekshumowali w 1943 r. w obecności przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża. Później od 16 do 23 stycznia 1944 r. mogiły rozkopała tak zwana Komisja Burdenki – członka Akademii Nauk i naczelnego chirurga armii radzieckiej. Według aktu ekspertyzy wykonano wtedy 925 sekcji, w sprawozdaniu zaś z prac Komisji wymieniono liczbę 1380. Oprócz lakonicznego, propagandowego „Komunikatu Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez okupantów hitlerowskich w Lesie Katyńskim polskich oficerów – jeńców wojennych”, opublikowanego w broszurowych wydawnictwach, ponoć nie ma żadnej dokumentacji**. Co prawda

* Fragment opowiadania z tomu pt. *Zabezpieczenie śladów*, Instytut Literacki, Paryż 1984, Czytelnik, Warszawa 1990.

** „... w aktach niniejszej sprawy brak pełnych protokołów sądowo-lekarskich badań zwłok Komisji Burdenki (...) Wspomnianych materiałów nie udało się odnaleźć w różnych archiwach także w toku niniejszego śledztwa”. *Z Orzeczenia Komisji Ekspertów z 2 sierpnia 1993 r.*, wydane na zlecenie Naczelnej Prokuratury Wojskowej Federacji Rosyjskiej. *Rosja a Katyń*, Wydawnictwo KARTA, Warszawa 1994, s. 39.

mówiło się ostatnio o jakimś innym, tajnym sprawozdaniu Nikołaja Burdenki, który wkrótce potem odszedł spośród żywych. Pojawiły się więc wątpliwości, czy w Katyniu są jeszcze zwłoki Polaków. Odwlekanie zgody na ekshumację przez stronę rosyjską właśnie w Katyniu, przypuszczenia takie uprawdopodobniło. Powtarzały się pogłoski o transportach zwłok gdzieś w głąb Rosji, mówiono o świadku, który miał widzieć wagony wypełnione rozkładającymi się zwłokami, co wydawało się czystym niepodobieństwem. Inne, bardziej już uzasadnione podejrzenia wynikały z informacji o prowadzonych tu prac budowlanych. Buldożery miały ponoć zepchnąć zwłoki gdzieś dalej, aby zatrzeć wszelkie możliwe do zbadania ślady.

Wspominam o tym, by uprzytomnić, jaki ciężar spoczywał na ekipie katyńskiej. Bardzo krótki czas, nikłe środki, niewielu ludzi i obowiązek ustalenia, czy są zbiorowe mogiły, a jeśli tak, to zadanie polegało na precyzyjnym wskazaniu ich położenia.

Do południa 6 września trwały intensywne prace topografów wojskowych, które kontynuowano przez ponad tydzień. Zgodnie z rozkazem przyjechali w cywilnych ubraniach. Sumienni i pracowici, wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt. Nikt nie wątpił w ich najwyższe kwalifikacje. Szybko zyskali uznanie wielkim zaangażowaniem, a kulturą osobistą szczerą sympatię.

Po obiedzie znów przyjazd do „autobazy”. Zabieramy świdry geologiczne. Tracimy na to ponad godzinę. W Katyniu nadal nie ma „wagończyka”, obiecanego już dziś barakowozu, w którym moglibyśmy przechowywać sprzęt. Zastajemy tylko kilku chmurnych milicjantów.

Miejsce, które przede wszystkim mamy zbadać, to cztery kwatery, ogrodzone półmetrowym murkiem i najbliższe ich sąsiedztwo. Marian Głosek znakomity archeolog, bez reszty oddany badaniu Zbrodni Katyńskiej cieszy się autorytetem u wszystkich. Wykorzystuje metody naukowe. Dzieli cały teren na kwadraty o wymiarach dwa na dwa. Wbijamy drewniane paliki. W tych miejscach co dwa metry, będą dokonywane odwierty.

Zaczynamy pierwszy poza dolną lewą kwaterą, patrząc w stronę dwóch drewnianych krzyży. Wszyscy po kolei pracują przy ręcznym świdrze geologicznym. Ciężka, fizyczna praca, ziemia twarda, przemieszana. Po dwóch godzinach docieramy do głębokości dwóch metrów, do warstwy nigdy nie wzruszanej, określanej przez fachowców jako calec. Tu żadnych śladów zwłok. Podczas drugiego odwiertu, wewnątrz kwatery, na głębokości 1 metra skrawek zielonej grubej tkaniny, najprawdopodobniej polskiego munduru.

Zastanawiam się, co pomyślałby ktoś nie zorientowany, obserwujący grupę kilku osób przy świdrach. Czy przyszłoby mu do głowy, że oto grupa ekspertów, delegowana przez polski rząd na podstawie umowy międzynarodowej, dokonuje prac sondażowych, mających przygotować ewentualną ekshumację i założenie polskich cmentarzy wojskowych? Nie towarzyszy nam nikt, kto reprezentowałby tak zwane oficjalne czynniki. Trudno zatem się dziwić, że na przykład administrator hotelu ośmiela się zakazywać łączenia telefonicznego z Warszawą, a nawet z Moskwą, mając zapewne zalecenie jakiejś prowincjonalnej „osobistości”.

Pod wieczór znów zbieramy cały sprzęt do bazy samochodowej. Rozładunek.



Praca przy świrze. Na pierwszym planie od lewej Zdzisław Sawicki i Mirosław Czudec

I dopiero powrót do hotelu. Na miejscu zastajemy I sekretarza naszej ambasady w Moskwie, Mirosława Czudeca. Jestem świadkiem jego krótkiej rozmowy z tłumaczącą się nieporadnie recepcjonistką. – *Co to znaczy, że nie ma łączności? To skandal* – mówi spokojnie, ale stanowczo. Paszport dyplomatyczny, stanowisko sekretarza i jego zdecydowana postawa działają. Nawet na administratora hotelu. Telefon wewnętrzny kierownika ekipy okazuje się nagle telefonem, z którego można dzwonić, gdzie się chce. Ale tylko przez dwa dni, bo później znów telefonistka zaczyna robić trudności. Szybka interwencja polskiego dyplomaty likwiduje ostatecznie te problemy.

Następny dzień, 7 września. Jak poprzedniego dnia do bazy po sprzęt. Mimo, że mamy śniadanie o siódmej, nadal, jakby umyślnie podają je znacznie później. Oczekiwanie na autobus i załadunek sprzętu. Pracę możemy rozpocząć o 9.30. Na głębokości 1.2 metra metalowy żołnierski guzik i kawałki tkaniny. Na głębokości dwóch metrów nie jesteśmy w stanie pokonać oporu. Nie dotaraliśmy do warstwy nie ruszanej przez człowieka. Więc pół metra w prawo. Tu już na głębokości 70 centymetrów w grocie świdra resztki tkaniny, skóry od butów. I pierwsze szczątki kości.

Jest tym razem z nami przedstawicielka tutejszego Czerwonego Krzyża. Stefan Pedrycz chodzący w niebieskim uniformie z plaketką PCK na piersi nawiązał kontakt ze smoleńskim Czerwonym Krzyżem. Nie bez problemów. W komisariacie milicji podano mu całkowicie mylny adres. A książka telefoniczna w kraju, gdzie się znaleźliśmy jest czymś nieosiągalnym ani w hotelu, ani tym bardziej na poczcie głównej dużego miasta. Pytanie o nią wywołuje takie zaskoczenie, jakby się przybyło nie z tego świata. Przewodnicząca tutejszego C.K. jest bardzo zajęta. Przyjmuje delegację niemiecką. Nie zainteresowała się bliżej pracami. Wydelegowała starszą kobietę, emerytkę, która czas w Katyniu spędza pracując na zbieraniu grzybów. Uzbierała ich sporo, obrodziły na cmentarzu.

Mirosław Czudec jest człowiekiem opanowanym, ale reaguje energicznie. Po stwierdzeniu, że nie ma żołnierzy, którzy dziś mieli być na pewno od rana, jedzie do GAJ-u, posterunku milicyjnego przy rogatkach miastach. Posterunki te nie zniknęły po zmianach w latach 1991/1992. Dodzwonił się do Nowikowa. Około dwudziestu żołnierzy ma być za pół godziny. Mijają dwie i nie zjawiają się. Przyjeżdżają natomiast dwaj oficerowie. Jeden, Władimir Sołdatow przedstawia się jako zastępca szefa urzędu spraw wewnętrznych w Smoleńsku. Obaj mówią, że dopiero w nocy otrzymali rozkaz z Moskwy przysłania tutaj ośmiu żołnierzy. *Jak to ośmiu?* – pyta Czudec. – *Przecież było uzgodnione, również z Nowikowem, że będzie co najmniej piętnastu, dwudziestu.* Oni – odpowiadają – są tylko żołnierzami, rozkaz brzmi: ośmiu. Będzie ośmiu, ani jednego mniej, ani jednego więcej. Pokazali zresztą rozkaz Nowikowowi. Powiedzieli, że dziś żołnierzy nie będzie. Najwcześniej jutro. Pracy nie będą rozpoczynać o godzinie 8.00 lecz o 9.00. Na stanowcze żądanie Mariana Głoska godzą się na godzinę 8.30.

Kontynuujemy zatem wiercenie sami. Na głębokości 2,7 metra pojedyncze fragmenty mundurów, małe od 2 do 5 cm fragmenty kości rąk i nóg, żeber, czaszek. Wszystkie szczątki z opisem, z którego odwiertu i na jakiej głębokości je odnaleziono są umieszczane przez nas w specjalnych foliowych opakowaniach.

Zastanawiam się, czy opisywać wszystkie te czynności? Czy wolno stawiać jakieś granice w takiej relacji jak ta. Bo być może dotrze ona do tych, których najbliżsi spoczywają w tej ziemi, przewiercanej przez nas świdrami. Być może bardziej uprawnieni do przekazania tego opisu byłiby ci z nas, których bliscy są tu pochowani. Wśród nas są trzy takie osoby, w Katyniu stracili ojców: Maria Magdalena Blomberg, Jędrzej Tucholski i Wojciech Śmigielski. Czy rezygnować z drastycznych opisów?

Wraz ze Zdzisławem Sawickim wiercimy i świder nagle gwałtownie z chrobotem wpadł głębiej. Spoglądamy na siebie. Mówię: – *Jakbyśmy natrafili na głowę.* Wyjmujemy świder, w grocie duża część *kości ciemieniowej, świeżo odłamanej świdrem* – identyfikuje szybko profesor Roman Mądro.

Z tego otworu wydobywamy również fragment munduru. Jakby strzępy generalskich szlifów.

Podczas krótkiego odpoczynku zauważam dwie małe marmurowe tablice: *Od Polaków z Wilna i Ziemi Wileńskiej w 50 Rocznicę Mordu Katyńskiego 28.IV.1990 r.* i druga *Poległym w Katyniu Wspólnota Parafialna Świętego Ducha w Wilnie 13.X.199 r.* ostatniej cyfry nie można odczytać, bo ten fragment tablicy odłupczony. Również pierwsza tablica nosi podobne ślady, bez wątplenia, celowej dewastacji.

Na murze, przed dwoma kilkumetrowymi krzyżami, po lewej stronie w czarnym granicie wykuty napis po rosyjsku: *Polskim oficerom poległym w Katyniu.* Po prawej stronie muru nie wyryto nic, tylko namalowany białą farbą napis w języku polskim: *Polskim Oficerom zamordowanym w Katyniu w 1940 r.,* teraz częściowo już nieczytelny. Nikt do tej pory nie zadał sobie trudu utrwalenia tego napisu lub chociażby doprowadzenia go do przyzwoitego stanu.

Wchodzę w głąb lasu, który pisarz widział jako las wysokich sosen i rozłożystych świerków i że gdzieś tam przez ich ciemną gęstą zieloną ścianę, czarną właściwie w nocnej ciemności, przebłyskiwała jasna kora pni cienkich brzozek*. Jest to rzeczywiście las mieszany. Są brzozy i sporo tu dębów. Krążę samotnie po lesie i jest to jedna z tych chwil, o których wspominałem wcześniej. Przecież chodzę wśród dołów śmierci. I trudno uciec od pytań. Co myśleli, co czuli ci, którzy stanęli nad tymi dołami? Widząc nieżywych kolegów, patrząc na spadających po strzale? Szarpali się? Bronili? Czy coś do siebie byli w stanie mówić? Może krzyczeli?

Spotykam wzburzonego docenta Głoska. Właśnie wraca z okolicy, w której najprawdopodobniej powinien znajdować się dół śmierci nr 8. Tak pisał o tym zbiorowym grobie Kazimierz Skarzyński – uczestnik Komisji Polskiego Czerwonego Krzyża – w poufnym sprawozdaniu z czerwca 1943 r. sporządzonym na polecenie Zarządu Głównego PCK, które niezwłocznie, przez kuriera, przekazano do Rządu Polskiego w Londynie.

„Ósmy dół położony w odległości około 200 metrów na południe od pierwszej grupy dołów odnaleziony został dnia 2 czerwca 1943 r. i wydobyto zeń tylko

* Wł. Odojewski: *Zabezpieczanie śladów*, passim.

dziesięć zwłok. Pochowane one zostały w otwartej jeszcze wówczas szóstej bratniej mogile. Z uwagi na porę letnią władze niemieckie zarządziły przerwę w pracach ekshumacyjnych do września, wobec czego ósmy dół, po wydobyciu wymienionych dziesięciu zwłok został zasypany. (...) W dole ósmym, sądząc po badanych rozmiarach, ilość nie powinna przekraczać paruset**.

Trudności ze znalezieniem tego dołu kryjącego masowy grób wynikały z braku wiedzy o położeniu siedmiu innych „znajdujących się w małych odległościach od siebie”, jak pisał Skarżyński, z których, jak wiadomo, 4241 zwłok przeniesiono i pochowano „w sześciu nowych, bratnich mogiłach wykopanych w bliskości dołów mordu. Dla zwłok dwóch generałów zrobiono wyjątek i leżą one w oddzielnych, pojedynczych grobach***. Bliższych danych o usytuowaniu zarówno dołów śmierci jak i tych „nowych” mogił, dziś brak. Zdjęcia fotograficzne i filmowe cmentarza z 1943 r. nie pozwalają na dokładne określenie położenia ósmego dołu śmierci. Burdenko ze swoimi ludźmi przekopał cmentarz. Zatarł ślady sześciu masowych mogił i dwóch generalskich. Czy zlikwidował grób w ósmym dole nie odkryty do końca w czterdziestym trzecim? Na to pytanie powinniśmy udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Tymczasem nadleśniczy, który spotkał docenta Głoska, zabrania „ruszyć choćby pięćdziesiąt kilometrów ziemi”. „Żadnych świrdrów, nie mówiąc już o koparkach”. Rozmawiamy z tym urzędnikiem. Tłumaczymy, że Nowikow wyraźnie mówił: – *Nie ma problemu, wszędzie gdzie trzeba kopać, kopcie*. To co mówił Nowikow nie obchodzi go najwyraźniej. W pewnej chwili nadleśniczy wyjmuje mapę w skali 1:10000. Gdy Przemysław Mądro zbliżył się do niego z kamerą, szybko zakrył mapę dodając, że jest tajna. Wówczas Marian Głosek wyjmuje mapę tego terenu w skali 1:500. Leśnik spojrzawszy z niedowierzaniem, jak mogło dojść do takiego złamania tajemnic państwowych. Po dojściu do siebie nadal twierdzi, że nie dopuści do żadnych prac poza najbliższym otoczeniem „memoriału”, jak Rosjanie określają cztery kwatery z krzyżami i murem – pomnikiem. Chyba że dostanie pisemne polecenie wicegubernatora Nowikowa. Będzie „bumaga”, to co innego.

Wieczorem docent Głosek rozmawia z Cioskiem i Nowikowem. Obaj zapewniają, że już jutro nie będzie żadnych problemów. Zapewniają, że będzie koparka.

Następny dzień. Koparki nie ma. Ośmiu żołnierzy. Czerwone gwiazdy na czapkach. Wielka sowiecka gwiazda na klamrach pasów. Młodzi, sympatyczni, otwarci. Jeden z nich, gdy wyrażam zdziwienie symbolami nieistniejącego państwa, wyjmuje z kieszeni monetę rublową z dwugłowym orłem: – *Wolicie to godło? Zdaje się, że nie, ponoć jedną głową z ostrym dziobem patrzy w waszą stronę* – śmieje się. – *Czy wy wierzycie, że u nas rzeczywiście się zmieniło?* Oficera, trzydziestokilkuletniego chudego mężczyznę o czarnych włosach, chorobliwie bladej twarzy, słabym

* Kazimierz Skarżyński: *Raport Polskiego Czerwonego Krzyża*, Oficyna Wydawnicza „Poko-
lenie”, Warszawa 1989 r.

** Kazimierz Skarżyński: *Raport Polskiego Czerwonego Krzyża*, passim.

głosie, traktują z przymrużeniem oka. Później mówią o nim śmiało, że to człowiek minionego czasu, komunista. Okazuje się, że to inteligentni chłopcy, wszyscy po skończonych technikach. Do końca służby w jednostce MSW pozostało im kilka miesięcy. Profesor Mądro wyjaśnia, aby nie obawiali się bakterii, jakichś chorób. Pracują przy świdrach bez oporów, chętnie.

Wreszcie na skraju lasu zostały ustawione dwa pomieszczenia na sprzęt.

Prócz oficera niemal stale jest jeszcze obecnych dwóch mężczyzn po cywilnemu. Jeden z nich to mężczyzna średniego wzrostu około czterdziestki, o twardej dłoni, twarzy pokrytej siatką splekanych żyłek, zawsze ubrany w garnitur. Na pytanie wyjaśnił, że jest z administracji lokalnej, a na jego terenie leżą Kozie Góry. – *Wy ten teren określcie* – dodał – *jako Katyń*. Uprzejmy, rozmowny. Mówimy, że do ramion świdra bardzo pomocne byłyby przedłużenia, półmetrowe rury, o kilkucentymetrowej średnicy. Po trzech godzinach przywozi idealnie pasujące przedmioty. Widząc nasze zmagania, chodzimy jakby w kieracie, sam proponuje naostrzenie świdrów. Po obiedzie przywozi zaostrzone. *To pracownik kontrwywiadu* – informuje nas jeden z życzliwych Rosjan. – *Uważajcie!* – Wzruszamy ramionami. Na cóż niby mamy uważać. Odmienne zachowuje się drugi mężczyzna w średnim wieku. Wysoki, z orlim nosem, zawsze w brązowej skórzanej kurtce. Z nikim nie rozmawia, jeśli już, to półsłówkami. Ma na wszystko baczenie. Żadnego uprzejmego gestu. Prawie bezgłośnie i wręcz niechętnie: dzień dobry. Za kilka godzin poznam go bliżej.

O dwunastej przyjeżdża z Moskwy konsul generalny Michał Żórawski, Witold Laskowski korespondent telewizji polskiej i ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski. Ten ostatni jak zawsze w znakomitym samopoczuciu. Już na wstępie komunikuje radośnie: – *No, już teraz wszystko będzie dobrze, mieliśmy ważne rozmowy w Moskwie, wszystko załatwiliśmy*. To samozadowolenie księdza staruszka demonstrowane i przy innych okazjach, teatralne cokolwiek eksponowanie własnej osoby, zwłaszcza przed kamerami, oraz przypisywanie sobie roli animatora wszystkich katyńskich przedsięwzięć nie podnosi chyba jego autorytetu, ani, niestety, nie pomaga zbyt sprawie. Usiłowali mu to uprzytomnić, z miernym skutkiem, niektórzy członkowie ekipy. Piszę zresztą o tym z największą przykrością. Ale w końcu trzeba to powiedzieć.

Podczas obiadu zostajemy poinformowani, że wieczorem odbędzie się spotkanie z władzami. Niechętnie skracamy prace o godzinę. Zgodnie z przewidywaniami kolacja odbywa się w specjalnej sali w podziemiach hotelu. Stół ugina się od najrozmaitszych potraw. Bogaty wybór alkoholi. Serwowane smaczne dania nie mają nic wspólnego z obrzydliwymi posiłkami, jakimi jesteśmy raczeni na co dzień w tym samym hotelu. I o dziwo, są prawdziwi kelnerzy, uprzejmie, bezszmerowo poruszający się przy stole. Jak oni różnią się od swoich koleżanek i kolegów obsługujących nas każdego dnia. I tak jest na każdym kroku. Bóg mi świadkiem, nie noszę w sercu antyrosyjskiej fobii, nie postrzegam w spotkanym Rosjaninie wroga. Nie mam też obsesji, jak wielu rodaków, na punkcie wszechobecności KGB. Czy jednak ci kelnerzy zachowujący się tak odmiennie, nie potwierdzają podejrzenia, że jedni i drudzy wykonują po prostu wyznaczone im polecenia?

Spotkanie z władzami rozpoczęło wystąpienie Anatolija Głuszczenkowa – gubernatora Smoleńszczyzny. Wielki niedźwiedziowaty mężczyzna mówił długo, niewyraźnie. To co nam komunikuje, sprowadza się do stwierdzenia, że nieważne gdzie, w którym miejscu leżą polscy oficerowie. – *My postawimy im i wszystkim innym represjonowanym oficerom pomnik. Najważniejsze, żeby zakończyć wreszcie ten tragiczny rozdział w naszej historii. Za pamięć poległych w Katyniu* – powiedział na koniec gubernator i odchyliwszy mocno głowę do tyłu wypił kieliszek wódki.

Nie przyłączyliśmy się do tego toastu.

Gubernatorowi i innym przedstawicielom władz Smoleńszczyzny odpowiadali członkowie ekipy, tłumacząc dlaczego domagamy się zgody na ekshumację i na założenie polskiego wojskowego cmentarza. Przypomniano Konwencję Genewską. W pięknych słowach mówiła dr Maria M. Blomberg. Podkreśliła, że nie kierujemy się nienawiścią, lecz niezbywalnym prawem do pamięci. Pamięci o ofiarach, która jest naszym obowiązkiem.

Siedziałem wtedy przy mężczyźnie w brązowej kurtce, tym samym, który kontroluje sytuację podczas naszych prac. Próbowałem bez skutku wciągnąć go do rozmowy. Pytam wreszcie, jaka jest jego funkcja, jeśli, zaznaczam, nie stanowi to tajemnicy. Przedstawia się jako Władimir Pietrowicz Teslin – zastępca dyrektora departamentu kultury przy szefie administracji smoleńskiej oblasti.

– *Jako człowiek kultury* – zaczynam wówczas – *znacie zapewne nazwisko wybitnego muzykologa, a mego przyjaciela, Polaka, żyjącego i pracującego w Moskwie.* Nie zdążyłem wymienić jego nazwiska. Władimir Pietrowicz jakby nie usłyszał pytania. Ale nagle robi się rozmowny, zaprasza do kosztowania zwłaszcza rybnych przysmaków. Później pytam o Teslina jednego z polskich dyplomatów. Uśmiecha się: – *Federalna Służba Kontrazwiетки. Stary kagiebowiec.* Ponieważ jestem nieufny wobec takich podejrzeń, pytam, skąd u niego ta pewność. – *Nas też szkoła* – odpowiada – *jak ich rozpoznawać. Ten jest, zapewniam, wyjątkowo łatwo czytelny.*

Wkrótce wszyscy otrzymaliśmy najbardziej przekonujący dowód. Na teren Lasu Katyńskiego wjechało kilka samochodów campingowych z Holandii. Zanim oderwali się od naszych czynności, Władimir Teslin przepędził turystów rozkazującymi gestami i podniesionym głosem. A później sztorcował bladych, stojących na baczność milicjantów, którzy dopuścili do wjazdu obcokrajowców. Gdy go zapytałem, dlaczego nie pozwolił się im zatrzymać, odparł że zamierzali tu urządzić sobie piknik. Oczywiście nikt w to nie uwierzył. Przed wjazdem do Lasu Katyńskiego tablica informuje o charakterze tego miejsca

Wśród tych, którzy otrzymali reprimendę od „człowieka do spraw kultury” był również pewien sierżant. Z gęstym, krótko przystrzyżonym wąsem. O twarzy ospowatej, jakby od dawna nie znającej uśmiechu. To na pierwszy rzut oka twarz kogoś ciężko doświadczonego przez los. Podszedł kiedyś do mnie, gdy z grotu świdra wyjąłem szczątki kości i zapisywałem głębokość ich znalezienia w prowadzonej dokumentacji.

– *Co wy tu wyprawiacie?* – Mówił bardzo spokojnie, bez agresji. Tylko z takim cichym oburzeniem. – *Po co zakłócać spokój tych kości. Przecież naszych też tu wielu pomordowano. To wszystko ofiary bandyty Stalina. I nieludzkiego systemu. Postawić im wszystkim pomnik. Uczcić pamięć, a nie teraz, po pół wieku rozgrzebywać groby.*

Zacząłem wyjaśniać, kim byli ci Polacy. W jakich okolicznościach ich uwięziono.

– *Jak to? Jeńcy?* – pyta z niedowierzaniem. – *Kilka tysięcy? Dużo młodych? Gdzie ich zabito, w NKWD w Smoleńsku?*

Mówię, że tu, w tym lesie. Nad dołami strzelano. Niektórym zawiązywali ręce do tyłu. Innym zarzucano płaszcz na głowę i szyję obwiązywano sznurkiem*. Zauważam, jak mój rozmówca zaciska zęby.

– *O Boże! Co tutaj musiało się dziać?* – mówi drżącym szeptem. – *Jaka rozpacz, jakie krzyki.* – Widzę, że z trudem hamuje łzy. Odwraca ode mnie twarz. I szybko odchodzi. A potem, każdego dnia, gdy tylko z daleka mnie wypatrzył, unosił dłoń w dyskretnym, porozumiewawczym geście przywitania.

10 września czekamy rano na autobus ponad 40 minut. Interweniuje towarzyszący nam i nie unikający również pracy fizycznej I sekretarz ambasady Mirosław Czudec. I on przyznaje, że tego wszystkiego co nas spotyka, nie można tłumaczyć wyłącznie biurokracją czy też rzeczywiście obejmującym wszystko bałaganem. Musi istnieć przyzwolenie na takie, a nie inne traktowanie nas. Gdyby było inaczej, kierowca czekałby pół godziny przed terminem i dowożono by nas autobusem nie rozlatującym się i cuchnącym wewnątrz czteroetylkim ołowiu. Są bowiem liczne struktury w tym państwie, które pracują należycie.

W Katyniu zastajemy wielkie poruszenie. Wielu robotników. Wciąż przyjeżdżają jacyś ludzie. Polewaczki zmywają asfaltowe alejki leśne. Na metalowe słupy, do których nie ma zresztą doprowadzonej elektryczności, zostają nałożone ozdobne klosze. Te wszystkie nagłe porządki zarządzono przed przyjazdem premiera Rosji Wiktora Czernomyrdina.

Wieczorem słyszę w moskiewskim radiu: *Jak donosi korespondent ze Smoleńska polska ekipa odstąpiła od ekshumacji i ograniczyła się do prac sondażowych w celu założenia polskiego cmentarza wojskowego. Zebrała się Duma Smoleńska i wyraziła zgodę na wspólny pomnik poświęcony polskim i rosyjskim ofiarom totalitaryzmu.*

Następnego dnia o godzinie 11.00 przyjeżdża do Katynia Stanisław Ciosek. Po chwili zjawia się Wiaczesław Briagin. Docent Głosek relacjonuje sytuację. Nie tai trudności. Ambasador Ciosek mówi, że będzie interweniował. Zwraca się do Briagina, że tak dalej być nie może. Wiaczesław Briagin – pełnomocnik rządu rosyjskiego, kiwa głową. Gdy w rozmowach z Rosjanami powołujemy się na wcześniejsze ustalenia

* Kazimierz Skarżyński tak przedstawiał wygląd zwłok w 1943 r.: „część z rękami powiazanymi do tyłu, część ze zdjętymi i narzuconymi płaszczami na głowy, przy czym płaszcze związane były na szyjach sznurkiem, ręce zaś również związane do tyłu, przy czym sznurek ten przytwierdzony do sznurka ściskającego płaszcz na szyi”. K. Skarżyński, *Katyn. Raport Polskiego Czerwonego Krzyża*, passim.

z jego urzędem, spotykamy się zwykle z ironicznymi uśmiechami. – *A kim on jest?* – mówią. I dodają określenie na tyle znieważające, że lepiej tego nie powtarzać nawet w złagodzonej formie. Aby go jeszcze pograć w naszych oczach, uzupełniają, że to człowiek odpowiedzialny za zdarzenia w Ostankino.

Wiaczesław Briagin, duży, tęgi mężczyzna o jasnych kręconych włosach, w drucianych okularach zachowuje się w stosunku do nas po przyjacielsku. Pyta mnie w pewnej chwili, czym dojeżdżamy ze Smoleńska do Katynia. Pokazuje na zdezelowany autobus, który wygląda jakby pochodził z zapomnianego złomowiska starych aut. – *Aha, tym samochodem* – mówi. I nic. Żadnej reakcji. Ani teraz, ani potem.

Pół godziny później limuzyny i tłum ludzi, fotoreporterzy, kamery. W otoczeniu ochrony podchodzi do pomnika premier Rosji Wiktor Czernomyrdin. Składa wieńiec. Tu oczekuje na niego ksiądz Peszkowski. Zwraca się do Czernomyrdina: *mój synu*, czego tłumacz zresztą nie przekłada. Opowiada, że sprawa ekshumacji jest zakończona. Najważniejsza zaś teraz jest sprawa powstania sanktuarium. I Kalwarii przypominającej Gólgotę Wschodu. Ten monolog przedłuża się do pół godziny. Czernomyrdin słucha. Coś tam w odpowiedzi bąka raz i drugi. Później, niestety, niewiele już czasu zostaje na rozmowę z kierownikiem polskiej ekipy, Marianem Głoskiem. Ale zdąży powiedzieć premierowi Rosji o wszystkich utrudnieniach, jakie nas tu spotykają. Stoję przy nich bardzo blisko. Patrzę nad dużą pofałdowaną twarz premiera. Nieruchomą. Jakby zatrzymaną w kadrze. Głosek informuje, że mieli być z nami od początku żołnierze, zaplecze na sprzęt, koparka. Wszystko zostało uzgodnione. Tymczasem przystano zaledwie ośmiu żołnierzom i tylu pracuje od przedwczoraj. Czernomyrdin nie reaguje. Po jego odejściu rozmawiamy z ambasadorem Cioskiem. Mówi, że słyszał wypowiedź rosyjskiego, obecnego tu również, wicepremiera i ministra rolnictwa Zawieruchy. Ludzi można dać. Koparki nie wolno.

Stanisław Ciosek okazuje cały czas duże zainteresowanie sytuacją, w jakiej się znajdujemy. Pozostawia też zestaw upominków, stosownych do miejscowych obyczajów, dla ludzi, którzy mogą się okazać pomocni.

Wśród osób, które pojawiły się w Katyniu przy okazji pobytu premiera Czernomyrdina, zwrócił moją uwagę swym wyglądem pewien czterdziestoletni, czarnowłosy mężczyzna. Mówił nie najlepiej po polsku. Jak się okazało pół Polak pół Rosjanin. Aleksander Sapieha. Ponoć jeden z najbogatszych ludzi Smoleńszczyzny. Jest właścicielem przedsiębiorstw o najnowszej amerykańskiej technologii. Zamierza kandydować na gubernatora Smoleńszczyzny. Proponuje, że zaangażuje na swój koszt osiemdziesięciu ludzi i przekaze do naszej dyspozycji koparkę. Nie doszło do skorzystania z tej propozycji, chyba jednak nierealnej w otaczającej nas wówczas atmosferze.

Praca w tak małym zespole przebiega powoli. Świdry wchodzi w ziemię z wielkim trudem już poniżej głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Ziemia jakby ubita, miejscami przemieszana z gruzem. Co dwadzieścia centymetrów świder jest wyjmowany, zawartość grota dokładnie sprawdzana, rodzaj gleby dokładnie opisywany. Żmudna, wręcz benedyktyńska praca. Tego dnia, 10 września po raz pierwszy przeżywamy kryzys. Coś się załamało w rytmie pracy. Jakiś powszechny upadek ducha. Z jednej strony zmęczenie fizyczne, na które składa się również zakłócanie

nocnego spokoju przez pijanych wrzeszczących niemieckich turystów; z jakimś dziwnym upodobaniem lokowano ich przez kilka dni w sąsiedztwie naszych pokoiów choć wielopiętrowy hotel „Rossija” świecił pustkami. Z drugiej zaś strony fakt, że mimo ogromnego wysiłku nie trafiamy na zbiorowe mogiły, tylko na pojedyncze szczątki, raczej ślady po mogiłach budzi uczucie coraz większego wyczerpania. Padają pytania: co dalej, jeśli w miejscu, gdzie był tak zwany cmentarz pecekowski nie znajdziemy zwłok? Ten kryzys trwa zaledwie kilka godzin. Wracamy do poprzedniego tempa pracy. Archeolog Wojciech Śmigielski z Poznania nadzoruje pierwszy wykop, w miejscu gdzie najprawdopodobniej były groby generałów Mieczysława Smorawińskiego i Bronisława Bohaterewicza. To za prawą górną kwaterą, kiedy patrzy się w stronę krzyży.

11 września – niedziela. Rano, po kilkunastu minutach pracy łopatami w ziemi kawałek żuchwy. Na bok łopaty. Profesor Mądro schodzi do wykopu z dwoma żołnierzami, których przyucza jak ostrożnie posługiwać się szpachelkami i pędzelkami. Wolno usuwają ziemię. Profesor odkrywa dwie czaszki. Po kilku godzinach pracy na kolanach ukazują się szkielety siedmiu osób.



Otwarta mogiła. Wykop nr 1.

Suche kości w żółto-brunatnym piasku.

Myślę, że niejednemu z nas mogły w tej chwili przypomnieć się słowa Proroctwa Ezechiela, przeczytanego w Kaplicy Prymasowskiej: „...oni mówią: Wyszły kości nasze i zginęła nadzieja nasza, i jesteśmy odcięci. Przeto prorokuj, a mów do nich: To mówi Pan Bóg: Oto ja otworzę groby wasze...”.

Polskie oficerskie buty, pasy główne, strzepy mundurów, guziki z orzełkiem

w koronie i czaszki z otworem wlotowym w potylicy, wylotowym w okolicy czołowej uprzytamniają, kim Oni byli, kiedy, w jakich okolicznościach i za co oddali życie. Teraz leżą jeden przy drugim, śmiertelnie ze sobą splątani.

Wojciech Śmigieński, pracujący przy tym wykopie mówi dziś głośniejszym niż zazwyczaj. Nerwowo. Rezygnuje z przerwy na obiad. Wraz z Jędrzejem Tucholskim zostają sami nad otwartą mogiłą.

Następnego dnia jesteśmy w Lesie Katyńskim o 8.28. W ekipie panuje niezwykła samodyscyplina. Nikt nikogo nie musi przywoływać do porządku. Kierownik grupy Marian Głosek, nie jest zmuszony do zwracania uwagi komukolwiek. Nie zdarzyło się, abyśmy choć raz spóźnili się z przyjazdem na miejsce. Tymczasem wciąż musimy oczekiwać na samochód lub na żołnierzy. Tego dnia znów na nich czekamy. Mirosław Czudec jedzie do GAJ-u, dzwoni do Nowikowa. Wicegubernator jest na jakimś zebraniu, nie może rozmawiać.

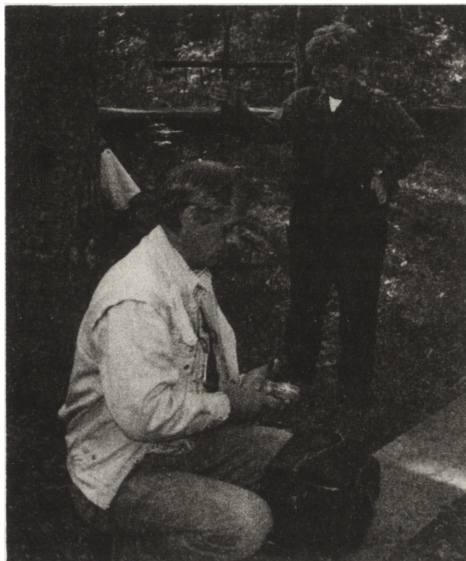
Zastanawiamy się, czy nie zaczną się retorsje po przedstawieniu sytuacji premierowi Czernomyrdinowi przez docenta Głoska. Może nie tylko nie dostarczą koparki, ale i nie pojawi się więcej żołnierzy. Być może spotkają nas jeszcze nowe jakieś szykany. Mamy dość powodów do takiej nieufności.

Czy ci – mówimy teraz głośno, nie bacząc na dwóch naszych opiekunów – którzy w najrozmaitszy sposób, celowo stwarzają te wszystkie trudności, nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób przyznają się do swoistej historycznej solidarności z oprawcami?

Żołnierze przyjeżdżają jednak o 9.30 z nowym oficerem. Jest ich nadal tylko ośmiu. Oficer nie uważa za stosowne wyjaśnić przyczyn spóźnienia. Dopiero na pytanie sekretarza naszej ambasady odpowiada bardzo niechętnie, wręcz na granicy grzeczności, że zachorowało dziecko oficera dowodzącego żołnierzami. Stąd wynikło nieco zamieszania. Pół godziny później dochodzi do nas zbliżający się powoli warkot. Koparka! Wreszcie! Apel do Czernomyrdina, widać, podziałał. Niestety. Po kilkudziesięciu sekundach widzimy, że to samochód ciężarowy z podnośnikiem. Podnośnik nie pracuje. Nawet nikt nie próbuje go uruchomić. Robotnik przystawia do słupów drabinę i zdejmuje klosze-lampiony, założone przed przyjazdem premiera Rosji.

Profesor Roman Mądro podnosi z mogiły przestrzelone czaszki. Szczegółowe oględziny. W czaszce obrażenia po dwóch strzałach. W kolejnej po trzech – jeden pocisk tkwi jeszcze w prawej kości ciemieniowej. Jak zwykle dokumentacja fotograficzna i filmowa. Powracają trudne do przekazania wrażenia sprzed trzech lat z Charkowa i Miednoje wywołane obrazem ekshumowanych szczątków setek pomordowanych. Były to emocje na tyle silne, że nie powstrzymały mnie od relacji pisanej „z krzykiem”, co niektórzy odebrali jako źle brzmiący patos. Nie usiłowałem ukryć swych osobistych przeżyć. Nie chciałem pisać inaczej. Dziś widok następnych dowodów tamtych zbrodni nie wywołuje już gwałtownego wstrząsu. Mimo to jest kolejnym i ważnym doświadczeniem.

Zauważam, że coś dziwnego dzieje się tutaj z czasem. Poranne, jeszcze przed świtem wstawanie, później intensywna praca. Sami siebie poganiamy. Żeby więcej,



Doc. Marian Głosek i dr Maria M. Blomberg

więcej zrobić. Zachęcamy żołnierzy do pracy. Z jednej strony wydaje się, że pracujemy niezmiernie długo. Ale z drugiej przyłapujemy się na wrażliwości, że czas jakby się kurczy. Boże, to już dwunasta – myślimy. Przerwa na szybki obiad. Mamy ciągle uczucie, że tracimy za dużo czasu na sprawy mało ważne. Ale nie ma innej rady. Jeść trzeba. Musimy w tym celu jeździć do Smoleńska i potem po kilkuminutowej przerwie wracać do Katynia. Moja dotychczasowa praca polega na prowadzeniu ścisłej dokumentacji kolejnych odwiertów. Do dziś pracuję w zespole z Mirosławem Pietrzakiem doświadczonym archeologiem. Od następnego dnia będę już samodzielnie nadzorował pracę przy odwiertach. Mirosław

Pietrzak zajmie się sondażem w celu zlokalizowania dołu śmierci numer 8. Odwiertów stale przybywa. Niektórych nie udaje się przeprowadzić w zaplanowanych miejscach. Trafia się bowiem na beton. Tak było przy pierwszym wykopie, w którym trzeba było skuć grubą warstwę. Pojawiają się pytania czy jest to celowe zacementowanie, czy też zaprawa wylana do dołów przy budowie prowizorycznego pomnika. W pamięci stopniowo zaciera się to, co wydarzyło się przy poprzednich sondażach. Tak więc bardzo dokładne zapisy będą stanowić podstawę dalszych poszukiwań. Ta pierwsza dokumentacja z przebiegu prac jest nocami wprowadzana przez docenta Głoska do dziennika. Opierając się na wynikach z odwiertów tworzy plan następnych wykopów. Trzeba wielkiej wiedzy i doświadczenia, by na podstawie przekroju gleby uchwycić zarysy dołów śmierci i mogił. Stąd tak wielka rola przypadła właśnie archeologom, choć niejednego na pewno zaskakiwała ich liczba w ekipie. Taki skład naszej ekipy okazał się jednak posunięciem nadzwyczaj trafnym. Sądzę, że przesądzającym w końcu o efektach. Znaczącą rolę w tym wszystkim odgrywa profesor Roman Mądro. Jego profesjonalna, uprawniona pewność, patriotyzm i wrażliwość, czasem mało zresztą skutecznie skrywana, odciska się wyraźnie na atmosferze, w jakiej przebiegają prace.

Przed godziną dwunastą przyjeżdża wicegubernator Nowikow z dwoma mężczyznami. Nie ma tu zwyczaju przedstawiania się, kto jest kto. Najpierw rozmawiają z docentem Głoskiem i sekretarzem ambasady Czudecem. Jutro będzie 25 żołnierzy i koparka. Marian Głosek mówi, że jeśli rzeczywiście będzie tylu żołnierzy, to koparka nie będzie konieczna. – *Nie, nie*, – mówi Nowikow. – *Chcecie czy nie chcecie, koparka będzie.*

A później Nowikow zaczyna snuć swoje wątpliwości. Że w gruncie rzeczy on jest

przeciwny naszym pracom. – *Mogą tu na przykład leżeć pomordowani Węgrzy – mówi. – Co to będzie jak postawimy pomnik, urządzimy polski cmentarz na ich grobach, Węgrzy będą mieli pretensje. A poza tym – kontynuuje Nowikow – na tym terenie masowo grzebano rozstrzeliwanych pospolitych bandytów. Co to będzie, jak powstanie polski wojskowy cmentarz na ich mogiłach?*

– *No właśnie – ktoś mu wreszcie przerywa – sam pan widzi, jak potrzebna jest maksymalnie pełna ekshumacja. Sam to sobie pan udowodnił.*



Stacja w Gniezdowie

Zdaniem ambasadora Cioska Nowikow to filozof, humanista, pozytywnie odróżniający się od innych aparatczyków tkwiących sposobem myślenia w komunistycznej epoce. Mimo to swoimi niektórymi wypowiedziami wicegubernator podważa szczerą dobrych intencji deklarowanych przy innych okazjach. Przez cały czas robił wrażenie człowieka miotającego się, poddawanego presji z różnych stron, nie mającego możliwości podejmowania samodzielnych decyzji.

Po obiedzie, nie dojeżdżając do Katynia skręcamy w boczną drogę. Bedna wieś. Po chwili jesteśmy na małej stacji GNEZDOWO. Budynek kolorowy, zadbane. Peron pusty. Nad nami przewalają się ciężkie chmury. Na krótko stację rozświetla jastrawie słońce.

Wzrok biegnie ku torom od strony Smoleńska. Z tego kierunku nadchodziły transporty z Kozielska. Za stacją, w stronę Katynia niewielka rampa

Czy właśnie tam wysiadali?

Stacja zaś była zupełnie maleńka, ledwo przystanek dla drwali i na załadunek tego ułożonego w sągi drewna, a pociąg stał tam już w wilgotnej, zimnej ciemności dość

długo, zanim otworzono ich wagon, i reflektor, umieszczony na trójnogu słupów przed stacją, oświetlił dokładnie ten tylko jeden wagon, jakby kierowany nań niewidzialną ręką, inne pozostawiając niewidoczne.

Tę scenę opowiadał wielokrotnie i nie brakowało wielu detali, podobnie jak przedtem w opisie okolicy stacji. Scenę zaczynającą się od zgrzytu rozsuwanych drzwi wagonu. Widok uzbrojonych mężczyzn na placu przed stojącym na szynach pociągiem pełnił w niej rolę dominującą. W jego pamięci, jak w tej ciemności, ich twarze były jednak słabo widoczne, nieruchome, jakby zatarte przez deszcz, ale na pewno mieli bagnety zatknięte na karabinach, a ich szeregi zacieśniły się przed wagonem, kiedy tylko drzwi zostały rozsunięte. I że wszystko, co się wtedy działo, mówił, działo się niezwykle cicho, niemal w milczeniu, kiedy oni, jeden po drugim, zeskakiwali z wagonu w dół na wysypaną grubym żwirem ziemię i byli przez tamtych od razu jak gdyby między siebie zagamiani i wpychani do stojącej tam gdzieś głębiej w ciemności ciężarówki. I zaraz była krótka jazda w tej ciemności, pewnie przez las...*

Przez ten las, swoją ostatnią drogę przebył także Jan Mikołaj Kossowski, rotmistrz kawalerii, odznaczony Krzyżem Virtutti Militari za wojnę 1920 r. i Antoni Śmigiel-ski podporucznik kawalerii 17 pułku ułanów. Ich dzieci – Maria Magdalena Blomberg i Wojciech Śmigiel-ski są teraz z nami.

W Katyniu pojawia się kontrowersja dotycząca dalszego postępowania z odkrytymi zwłokami. Wydobywać szczątki, czy też wyłącznie dokumentować pierwszą warstwę odkrytej mogiły. Obawa o ewentualne przerwanie naszych prac pod pretekstem niedochowania uzgodnień co do przeprowadzenia wyłącznie sondaży dyktuje docentowi Głoskowi w tym momencie decyzję o bardzo ograniczonym podnoszeniu zwłok, które następnie są z powrotem składane do tej mogiły. Co prawda Nowikow, który przyjechał natychmiast po otwarciu zbiorowej mogiły nie protestuje przeciwko wyjmowaniu czaszek, ale nie on tu zapewne decyduje. Pragnie się dowiedzieć, czy aby na pewno dotarliśmy do zwłok Polaków. Doktor Marek Dutkiewicz, wyśmienity znawca mobiliów, okazuje mu przedmioty znalezione przy zwłokach – fragmenty charakterystyczne dla polskiego umundurowania, guziki z orzełkiem, polskie monety.

13 września. Od rana niemiłosierna ulewa. Autobusiki, którymi tu dojeżdżamy, zmieniają się, ale jeden gorszy od drugiego. Ostatni przecieka tak, że nie sposób znaleźć suchego miejsca. W Lesie Katyńskim jesteśmy przed 8.30. Pogoda nikogo nie odstrasza. Stanowiska, przy których sporządzana jest dokumentacja chronione są specjalnymi parasolami. Są wojskowe panterki.

Andrzej Przewoźnik zadbał maksymalnie o wyposażenie na każdą sytuację. Prowiant dostarczony przez Fundację Katyńską, a także zgromadzony przez kierowników ekip też bardzo się przydaje. To dodatkowe odżywianie się pozwala utrzymać jaką taką formę fizyczną. Leje nadal. Tymczasem nie ma ani jednego żołnierza, ani zapowiedzianej koparki. Wreszcie, po pół godzinie przyjeżdża ponad dwudziestu żołnierzy. Powrócił oficer, który dowodził żołnierzami na początku. Żadnych wyjaśnień w związku ze spóźnieniem. Pytam o chore dziecko. – *Już wszystko w porządku* – odpowiada. Mówię, że byliśmy poruszeni

* Wł. Odojewski: *Zabezpieczanie śladów*, passim.

kolejnymi wiadomościami o ciężkim stanie jego chłopca, który znalazł się w szpitalu na intensywnej terapii. Nasi lekarze deklarowali pomoc w postaci posiadanych leków. – *Niczego nie potrzebuję. Wszystko w porządku* – odpowiada tonem zdradzającym jawną niechęć do najmniejszej choćby zażyłości. Jeszcze przed chorobą dziecka podszedł do mnie, nie gasząc na twarzy wyrazu niezadowolenia. Powiedział, że postępujemy bardzo niewłaściwie, szukając mogli. – *Postawić pomnik, po co cmentarz i skończyć z tym raz na zawsze*. Pytam, czy wie, w jakich okolicznościach zamordowano Polaków w Katyniu. Dokładnie nie wie. Opowiadam zatem to wszystko, co mówiłem sierżantowi milicji. Tłumaczę sens ekshumacji i racje przemawiające za założeniem polskiego wojskowego cmentarza. Słuchał i nie okazywał, aby cokolwiek robiło na nim wrażenie – *Pomnik i koniec* – stwierdził wreszcie. A ostatecznie dał wyraz swoim poglądom nieco później. Przy jednym ze strzepów polskiego munduru znajdował się dość duży fragment codziennej gazety. Bardzo dobrze zachowała się część daty: 1940 god (rok). Docent Głosek poprosił oficera, aby obejrzał tę gazetę. – *No i co z tego wynika?* – zapytał lekceważąco. I dodał coś, co wszystkich wprowadziło w osłupienie. – *Tylko to, że tego człowieka nie zastrzelono przed rokiem czterdziestym. Ale niewykluczone, że rok później*. Na pytanie z naszej strony, czy zna kogoś, kto nosi w kieszeni codzienną gazetę przez rok, tylko wzruszył ramionami i odszedł.

Do tamtej chwili wydawało mi się, że do wszystkich bez wyjątku Rosjan dotarła tragiczna prawda, którą tu do końca odkrywamy, że ujawniono dostatecznie dużo dowodów, aby najbardziej z nich zatwardziali nie mieli już żadnych wątpliwości. Okazało się, że rzecz, mimo to, przedstawia się nieco inaczej.

Obserwujemy jakiś dziwny ruch wokół miejsca naszej pracy. Samochody osobowe, jacyś mężczyźni wysiadają, rozglądają się, za chwilę odjeżdżają. Zaraz potem przyjeżdża ktoś następny. Nasi „opiekunowie”, dwaj panowie po cywilnemu, nie wydają się tym ani zaskoczeni, ani zaniepokojeni, witają się z niektórymi przybyszami. Zatem, widać, wszystko przewidywane. W tym czasie ktoś zawiadamia, że w drodze do nas koparka zepsuła się.

Pojawia się wicegubernator, Anatolij Nowikow. Mówi, że możemy bez obaw wydobywać odkrywane szczątki. Demonstracyjnie wręcza też nadleśniczemu zezwolenie na wycięcie drzew. Pismo jest nie podpisane, ale opieczetowane. Nadleśniczego interesuje tylko pieczętka.

Tuż przed dwunastą przyjeżdża koparka, zaraz potem druga. Rozpoczyna się intensywna praca w okolicach dołu śmierci nr 8 i przy wykopie nr 3 z lewej strony kwater, kiedy patrzymy w stronę krzyży.

Następnego dnia przyjeżdżają dwie koparki. Jeden z operatorów mocno pijany. Po 15 minutach koparka jest niesprawna.

Doktor Blomberg natrafia w wykopie na skrzyżowane deski. Czyżby pecekowski uszkodzony krzyż? Przewidywał to w 1943 roku Kazimierz Skarżyński: **Przez bolszewików zostaną może zniszczone proste krzyże z sosnowego drzewa oraz skromny wieniec metalowy z pochodzącym z czapki oficerskiej orzełkiem w cierniowej koronie z drutów kolczastych...’’***

* K. Skarżyński: *Katyni. Raport Polskiego Czerwonego Krzyża*, passim.

Obok tego miejsca przemieszane z ziemią fragmenty mundurów. Są też polskie guziki od mundurów, fragment gumowego płaszcza i rękawica, najprawdopodobniej pochodzące z czasów ekshumacji w 1943 roku. To już ostatnie moje bezpośrednie spostrzeżenia. Tego dnia wyjeżdżam bowiem, zgodnie z ustaleniami, do Tweru. Do Katynia przyjadą natomiast archeolodzy: dr Jan Grześkowiak z Torunia i Piotr Świątkiewicz z Łodzi.

Dowiem się więc już później, że uchwycono zarysy pięciu z sześciu bratnich mogił cmentarza PCK z 1943 roku. Przypomnijmy, że jako bratnie mogiły Kazimierz Skarżyński określał groby, do których wtedy przeniesiono zwłoki z dołów śmierci, nad którymi zabijano polskich oficerów. Teraz nie udało się odnaleźć tylko mogiły nr 1. Ustalono, że wyłącznie dolne, lewa i prawa, kwatery obecnego cmentarza patrząc w stronę krzyży, odpowiadają częściowo konturom mogił. W niektórych, na przykład w odkrytej w wykopie nr 6 (lewa dolna kwatera) zwłoki zostały przemieszane do ostatniej warstwy; nie znajdowały się w porządku anatomicznym, w poszczególnych warstwach liczba czaszek nie odpowiadała liczbie pozostałych części szkieletów.

Wiadomo też, że bratnie mogiły wychodzą poza teren obecnych zarysów cmentarza i znajdują się za krzyżami.

Zdołano uchwycić pełny zarys dołu śmierci nr 8 o wymiarach 7,2 metra na 4 metry. Aby pozostawić możliwość sprawdzenia do celów śledczych tego dołu śmierci, docent Głosek postanowił wyeksplorować tylko jego część o pow. 4 m × 4 m. W tym dole powinno znajdować się od 170 do 200 zwłok polskich oficerów. Tymczasem odnaleziono wyłącznie dwie czaszki, nieliczne kości ramion, przedramion i nóg oraz furazerkę z włosami, rogatywki polowe i czapki garnizonowe oficerów, łącznie kilkanaście sztuk wojskowych nakryć głowy, liczne polskie monety, lusterko, okulary i futerały na nie, a także dużo guzików od wojskowych mundurów. Wszystko na to wskazuje, że Rosjanie bądź podczas działania komisji Burdenki (o czym „Komunikat Komisji Specjalnej...” milczy) lub kiedy indziej wydobyli stamtąd, ale niedokładnie zwłoki, aby usunąć dowody znajdujące się przy zwłokach a wskazujące bezspornie na czas dokonania zbrodni, jak to miało miejsce podczas ekshumacji w 1943 r.*

Do Tweru pojedę wraz z majorem Adamem Kazikiem i kapitanem Waldemarem Kubiszem samochodem ambasady. Wcześniej odbieramy od stolarza w Smoleńsku małą trumnę na szczątki zwłok, które spoczną w jednym z wykopów w Katyniu. Przy tej okazji zaglądamy w Smoleńsku do przycementarnej kaplicy, nad kryptą grobową

* Np. znane zapiski odnalezione w 1943 r. przy zwłokach majora 57 pułku piechoty Adama Solskiego pod datami z kwietnia 1940 r. „8.IV. godz. 3.30 wyjazd ze stacji Kozielsk na zachód. Godzina 9.45 na stacji Jelnia. 9.IV. parnaście minut przed piątą rano pobudka w więziennych wagonach i przygotowanie się do wychodzenia. Gdzieś mamy jechać samochodem. I co dalej? 9.IV. 5 rano. Od świtu dzień rozpoczął się szczególnie. Wyjazd karetką więzienną w celkach (straszne!). Przywieziono nas gdzieś do lasu coś w rodzaju letniska. Tu szczegółowa rewizja. Zabrano mi zegarek, na którym była godzina 6.30 (8.30). Pytano mnie o obrączkę, którą... Zabrano ruble, pas główny, scyzoryk...” Za: *Pamiętniki znalezione Katyniu*, wyd. 2. Paryż-Warszawa 1990 r., Wydawnictwo „Spotkania”, s. 105.

rodziny Komorowskich. Kaplica przerobiona na prowizoryczne mieszkanie. Władze nie oddały ani kościoła, ani zabudowań parafialnych. W kaplicy nad trumnami mieszka w zastępstwie proboszcza katolickiej parafii, który nabawił się w tych warunkach choroby płuc i pojechał do Polski na badania, trzydziestokilkuletni franciszkanin. Przyjechał do Katynia, odprawił cichą mszę przy mogiłach. Nie ukrywa wzruszenia, jakiego doznaje na widok otwartego grobu polskich oficerów. Nieraz zagląda do nas, do hotelu. Widać, choć tego stara się nie okazywać, jak bardzo mu dokucza samotność na tej ziemi obcej, niechętniej Polakom i katolicyzmowi. Na nasz widok rozjaśnia się, zaprasza do skromnego mieszkania. Niestety, czas nagli, tylko krótka kilkuminutowa rozmowa, serdeczne uściski dłoni. Ojciec Sobiesław Tomala zapisuje się w mojej pamięci jako wzruszająca postać misyjnego kapłana.

W Katyniu zabieramy sprzęt topografów i wraz z Mirosławem Czudcem, który zostanie w Moskwie, ruszamy do Tweru. Forda-transita należącego do ambasady prowadzi sympatyczny Rosjanin, ale kiepski kierowca. Błądzimy długo, by wyjechać na trasę do Moskwy. W motelu w Twerze, znanym z poprzedniego pobytu, jesteśmy o drugiej w nocy.

Rano, 16 września, ostra pobudka. Profesor Bronisław Młodziejowski, wybitny antropolog i osteolog kieruje pracami w Miednoje. Nie zdążywszy się nawet ogolić wyjeżdżam do Miednoje. Tu na pierwszy rzut oka sytuacja wygląda odmiennie. Z jednej strony wojskowy dryl wprowadzony przez kierownika ekipy, z drugiej inne, pozbawione wrogości, czy niechęci traktowanie przez Rosjan. Stosunkowo dobre wyżywienie, porządny autobus, którym jesteśmy dowożeni na miejsce. W samym zaś Miednoje dwa niewielkie namioty, w których składowany jest sprzęt i do których doprowadzono elektryczność. Jest nawet linia telefoniczna. Przy jednym namiocie powiewa biało-czerwona flaga. Plakietki z napisem „ekshumacja” nikogo tutaj nie drażnią.

Pogoda słoneczna, nieruchomy mieszany las w lekkiej, ciepłej mgle. Na wielu drzewach prowizoryczne, drewniane i papierowe ofoliowane tabliczki, niektóre z fotografiami pomordowanych – przede wszystkim policjantów. Stoją też brzożowe krzyże, które stawialiśmy trzy lata temu na miejscu zlokalizowanych wówczas, lecz nie ekshumowanych zbiorowych mogił. Przybyło sporo nowych, bardzo różnych krzyży. Dziś szczególny to cmentarz. Widać, że ten las oddalony od Polski o setki kilometrów odwiedzany jest przez osoby, które pozostawiają tutaj dowody pamięci i hołdu. Na jednym z krzyży biało-czerwona plakietka z napisem: „Jesteśmy z wami... Żony, córki, synowie”. Nieco dalej, pod pięćdziesięcioletnią brzożą metalowy krzyż i drewniana wbita w ziemię tablica POLSKA O WAS PAMIĘTA.

Chodzę po lesie, odnajduję miejsce, z którego w 1991 roku polska ekipa wykshumowała ponad 240 zwłok. Wracają w pamięci tamte straszne obrazy. Zachowane w całości (w przemianie tłuszczowo-woskowej) zwłoki, sterty obuwia i odzieży, i praca z profesorem Romanem Mądro przy opisywaniu kilkuset czaszek z ranami postrzałowymi.

Teraz zasiadam do innej pracy. Tak jak w Katyniu dokumentuję efekty odwiertów.



Krzyż na jednej ze zbiorowych mogił w Miednoje

Prace są tu bardzo zaawansowane. Wykonano już sto kilkadziesiąt odwiertów sondażowych. Cały domniemany teren cmentarza został podzielony na sektory. Wyniki kolejnych odwiertów są opisywane, a następnie w wypadku pozytywnego wyniku, określane jest ich położenie w stosunku do oznaczonych punktów topograficznych. Białe paliki z kolejnym numerem i głębokością wiercenia umożliwiają orientację o zarysach mogił. Punkty te nanoszone są później na mapę. W Katyniu praca przy jednym odwiercie trwała do kilku godzin, tu ziemia pozwala na dojście do głębokości czterech i więcej metrów po kilkunastu minutach. Ślady natrafienia na zbiorową mogiłę są tutaj niewątpliwe. Najpierw w grocie świdra ziemia sinawa, przechodząca w granatowe podbarwienia. To na skutek barwnika z policyjnych mundurów. A jeszcze głębiej ziemia staje się bardziej wilgotna, aż przechodzi w płynną mazistą substancję o wyjątkowo przykrym zapachu. To już ludzkie szczątki, tkanki miękkie w przemianie tłuszczowo-woskowej. W grocie świdra bardzo często pojawiają się fragmenty kości. Niektóre mogiły są sprawdzane pod kątem ich głębokości. Są takie, w których zwłoki spoczywają ponad cztery metry pod ziemią. Przy niejasnym obrazie profesor Młodziejowski, wybitny antropolog mający za sobą doświadczenia z wielu masowych ekshumacji, zarządza wykonanie wykopów. Z kilkunastu wykopów, w siedmiu przypadkach zostały odkryte zbiorowe mogiły.

W Miednoje pracują archeolog z Łodzi, Justyn Skowron, komisarz Tomasz Jabłoński z Komendy Głównej Policji, trzeba dodać wytrawny znawca mobiliów i wszelkich poloników, Eugeniusz Taradajko – szef rzeszowskiego PCK, Bernard Łuszczynski – pracownik Instytutu Kryminalistyki w Wyższej Szkole Policyjnej w Szczytnie, Bartłomiej Tuchaczewski z Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu i studentka WSP w Szczytnie Urszula Frankiewicz jako dokumentalistka. Tak jak w Katyniu, bardzo wąska grupa. Praca trwa więc od rana do wieczora. Potem jeszcze sporządzanie całościowej dokumentacji. Wraz z rosyjskimi żołnierzami przy świdrach pracują trzej polscy kierownicy.

Przez długie godziny przebywa w Miednoje tutejszy wójt Borys Nikołajewicz Jeszenko. Pochodzi ponoć z atamańskiej rodziny. Dziadka rozstrzelało NKWD, później zabili mu ojca – obu traktując jako wrogów ludu. Brat Borysa został zesłany na Sachalin z prawem do korespondencji raz na 5 lat. Borys Nikołajewicz to niski, dobrze zbudowany mężczyzna. Na dłoni ma dużymi literami wytatuowane imię ukochanej: „Tania”. Prosty, życzliwy nam człowiek. I dobry gospodarz terenu. Ni stąd, ni zowąd otrzymał dużo pieniędzy w związku z pracami ekshumacyjnymi Polaków. Jak sam przyznał, za część tych pieniędzy kupił transformator dla wsi Miednoje. Spełnia każde życzenie kierownika ekipy. Pilnujący terenu milicjanci też odnoszą się do nas z życzliwością i pełnym zrozumieniem.

Ale jakby dla przypomnienia, gdzie mimo wszystko jesteśmy kolejny incydent. Podczas przerwy na obiad w głośniku hotelowym (dawniej zwanym kołchoźnikiem) w jakiejś audycji na żywo dzwoni radiosłuchacz i w związku z naszym pobytym tutaj wyraża oburzenie: – *Po co nam ta polsko-słowacko-węgierska swotocz. Kto wie, ilu naszych leży pod Warszawą.*

I tu, w Twerze, nocny spokój zakłócają niektórzy motelowi goście. Tym razem to



Przed krzyżem w Miednoje

nasi rodacy. Określają siebie jako biznesmenów. Uczestniczą w twerskich targach. Głośne libacje alkoholowe z prostytutkami trwają do połowy nocy. Z nimi to zawarł bliższą znajomość pewien polski dziennikarz, który przyjechał z ekipą. Dowiedziałem się, że po pijackich ekscesach profesor Młodziejowski polecił mu opuścić Twer. Nie powinno się milczeć o podobnych wydarzeniach. Piętnując takie wybryki trzeba jednocześnie podkreślić poważną postawę pozostałych dziennikarzy, którzy przyjeżdżali do Katynia i Miednoje i informowali rzetelnie opinię w kraju o naszych pracach.

W ekipie tymczasem narasta napięcie. Do konsula Michała Żórawskiego zwrócił się pisemnie tutejszy zbieracz militariów, Oleg Chochłow. Proponował wskazanie miejsc odległych od Miednoje, gdzie w ziemi zakopane są różne przedmioty polskiego pochodzenia. Starania profesora Młodziejowskiego o skontaktowanie z autorem listu spełżyły na niczym. Pozostaje dość ryzykowna droga – pośrednictwo Federalnej Służby Kontrwywiadu. Bronisław Młodziejowski to ryzyko podejmuje. Jestem akurat w jego motelowym pokoju, gdy wchodzi rosty mężczyzna w garniturze i w koszuli bez krawata. Śmieje się szeroko, wita mnie jak starego znajomego. Nie rozpoznałem w nim w pierwszej chwili pułkownika Turkiewicza z KGB, pilnującego nas trzy lata temu, zawsze wówczas występującego w mundurze i dalekiego od okazywania, oględnie mówiąc, jakiegokolwiek pomocy.

Dziś pracuje w FSK jako naczelnik jednego z wydziałów.

Mówi, że odnalazł Chochłowa. – *Żywego czy martwego?* – żartuje Młodziejowski. Turkiewicz nie obraża się. – *Cały i zdrow* – odpowiada. – *Przyjechał do Tweru odwiedzić rodzinę, jutro do was przyjdzie.*

Młodziejowski udaje, że do tej sprawy nie przywiązujemy większej wagi. Może ten człowiek zmyśla, może nie będzie w ogóle chciał rozmawiać. – *No, no* – mówi Turkiewicz jakby żartem. – *Wtedy my z nim porozmawiamy.*

Następnego dnia wieczorem zjawia się Oleg Chochłow. Rozmowa w wąskim gronie. Chochłow godzi się bezinteresownie wskazać miejsca, na które natrafił kilka lat temu.

Rano profesor Młodziejowski wysłał nasz polski autobus do Miednoje po łopaty i świder. Okazuje się, że namioty zwinięte, sprzęt gdzieś zabrany. Widać codziennie likwidują wszystko, by rano postawić. Nikomu nie chce się pilnować? Na szczęście mamy łopaty w ciężarówce.

18 września, niedziela. Ruszamy do centrum Tweru. Czekamy przy prospekcie Nikitina. Justyn Skowron wraz z Eugeniuszem Taradajko odnajdują mieszkanie, w którym przebywa Chochłow. Po jakimś czasie przychodzi wraz z dwiema osobami. Z dwudziestokilkuletnią, ostro umalowaną dziewczyną w męskim kapeluszu, w obcisłych spodniach. Jest też młody, rudy chłopak o zaczerwienionych chorobliwie oczach. Sam Chochłow, mężczyzna koło trzydziestki, chudy, przygarbiony, ubranie zaniedbane. Wszystko to nie wygląda poważnie.

Z trasy Moskwa – Petersburg kilka kilometrów od skrzyżowania do Miednoje wjeżdżamy w las. Chochłow krąży dość długo po lesie, mówi, że się pomylił, więc wracamy. Dopiero jego poszukiwania w innym miejscu lasu kończą się przywołaniem nas.

Zagłębienie o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Rodzaj jamy. Tomasz Jabłoński dość kategoriycznie ocenia, że jest to pozostałość po dole maskującym czołg. Szacuje po drzewach, że wykopano go około trzydziestu lat temu. Chochłow mówi, że co najmniej do końca lat sześćdziesiątych był tu poligon wojskowy.

Znalezisko jest rzeczywiście niezwykle. Pod płytką warstwą ziemi manierki wojskowe, aluminiowe miski, niektóre z dobrze zachowanym wybitym napisem „Wronki”, jedna miska z wytłoczeniem „Ministerstwo Spraw Wojskowych”. Większość przedmiotów przebita jakimś kanciastym narzędziem. Sposób na złomowanie? Są też kubki, fragmenty talerzy, wojskowe niezbędniki, opatrunki osobiste, haki do zakładania butów oficerskich, guzik z orzełkiem w koronie, pudełka z kremami, pędzle do golenia, papierośnice, portfele, zapalniczki, klucze, okulary, wszystko bez wątpienia pochodzące z przedwojennej Polski. Jeden z kierowców wygrzebuje w pewnym momencie z ziemi znaczek identyfikacyjny Policji Województwa Śląskiego nr 324.

Nie może być żadnych wątpliwości. To przedmioty odebrane Polakom, więzionym w obozie w Ostaszkowie, przed ich zamordowaniem w Twerze. Gdzie i w jakim celu je przechowywano? Kiedy i dlaczego zdecydowano się je wyrzucić w lesie, niedokładnie je ukrywając? Czy ktoś, kto o tym zdecydował, wiedział coś o ich właścicielach? Na te pytania nie ma odpowiedzi. Myślę, że nigdy już nie zostaną udzielone.

W poniedziałek, oprócz odwiertów, kolejny wykop. Profesor Młodziejowski wskazuje teraz na nie wyróżniające się niczym specjalnym lekkie zagłębienie. Zaczyna pracować koparka. Niektórzy wątpią, czy w tym miejscu można na coś natrafić. Intuicja czy wiedza połączona z doświadczeniem? A może jedna i druga razem? W każdym razie nie zawiodły Młodziejowskiego. Już po niedługim czasie w łyżce koparki fragmenty butów, paski, kawałki talerzy. Później już ręcznie z ziemi wydobywane są dziesiątki obozowych kubków, wojskowe menażki, identyczne jak znalezione w lesie, z wytłoczonym napisem „Wronki”. Prócz tego różne naczynia. Oczywiście polskiego pochodzenia, między innymi w idealnym stanie piękny fajansowy kubek z reklamą: „Każdy dom pije co dzień kawę Bohm”.

Wcześniej profesor Młodziejowski wyeksplorował do końca dół, z którego w 1991 roku nie zdążono wydobyć wszystkich polskich przedmiotów. Teraz okazało się, że pozostało w nim dwukrotnie więcej przedmiotów niż odzyskanych przed trzema laty.

20 września przyjechał z Katynia Włodzimierz Kalicki z „Gazety Wyborczej”. Mówi, że prace tam są bardzo zaawansowane. Oprócz polskich zbiorowych mogli trafiono na dwie rosyjskie.

Witold Laskowski z *Wiadomości*, który kolejny raz przyjechał do Tweru mówi, że z jego informacji wynika, iż teraz Rosjanie chcą maksymalnie poszerzyć obszar prac w Katyniu. Nawet wskazują jakieś miejsca i pytają: *A dlaczego tutaj nie kopiecie?* – Zdaniem korespondenta telewizji ma to na celu „umiędzynarodowienie” sprawy. Żeby Polacy częściej trafiali na groby rosyjskie. Wtedy będzie mocny argument, iż to nie tylko polski cmentarz. Są ponoć zaskoczeni przygotowaniem Polaków i orientacją co do miejsc uzasadniających poszukiwania.

Tego dnia przyjechał do Miednoje ambasador Stanisław Ciosek, konsul Michał Żórawski oraz generał Zdzisław Sarewicz, mocno starszy, jowialny pan, rezydent

UOP w Moskwie, do 1989 r. dyrektor Departamentu I MSW. Ambasador Ciosek bardzo zainteresowany pracami również w Miednoje. Pyta, czy mamy jakieś problemy lub życzenia. Także tutaj zostawia zestaw podarunków dla osób udzielających pomocy Polakom.

Prace sondażowe powoli wygasają. Materiały do mapy zbiorowych mogił zostały zebrane.

22 września przyjeżdża Andrzej Przewoźnik, konsul Stanisław Łukasik, kapelan Wojska Polskiego ksiądz pułkownik Tadeusz Dłubacz, ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, Witold Banaś – przewodniczący Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939 r.” oraz Włodzimierz Dusiewicz – przewodniczący Federacji Rodzin Katyńskich i jednocześnie pracownik Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Jedziemy do Miednoje. Skupiony ksiądz Tadeusz Dłubacz, proboszcz Katedry Polowej odłącza się od wszystkich. Staje przed kilkumetrowym krzyżem, który w 1991 roku ustawił przewodniczący Komitetu Katyńskiego Stefan Melak wraz z przyjaciółmi. Ten krzyż wiele miesięcy leżał przed Katedrą Polową. Kapelan zapala świece. Długo pozostaje przed krzyżem.

Potem o zachodzie słońca msza celebrowana przez obu kapłanów.

Wieczorem pożegnanie z przedstawicielami władz Tweru. Najważniejszy, generał Cwietkow, zastępca szefa Federalnej Służby Kontrwywiadu, zaczyna swoje wystąpienie od retorycznego pytania: – *Jak nazwać ten stół – tragicznym, roboczym czy stołem przyjaźni? Niechże wreszcie będzie przyjaźń. Nadszedł czas wyjaśnienia wszystkich tajnych dotychczas stron naszej historii. Wzajemnej historii.* – Tego ostatniego zwrotu używa kilkakrotnie, nawiązując dość natrętnie do rozniecanej co raz kampanii pomawiania Polaków o masowe eksterminacje jeńców radzieckich po wojnie w 1920 r. Później w innym już tonie, bez takich akcentów zabiera głos Walentyna Suworowa, naczelnik Wydziału Kultury i Nauki oblasti twerskiej. Przemawiają inni. Wystąpił z godnością Witold Banaś, którego ojciec i stryj, zamordowani w Twerze, spoczywają w Miednoje. On sam został zesłany do Kazachstanu. Nie przemawia pułkownik Turkiewicz. Jego twarz jest pogodna, błąka się po niej jakiś trudny do rozszyfrowania uśmiech.

W niedzielę, gdy pojechaliśmy z Olegiem Chochłowem do lasu, patrzyliśmy, czy ktoś za nami nie podąża. Niczego podejrzanego nie dostrzegliśmy, ale podczas pracy w jamie kryjącej polskie przedmioty widzieliśmy, nie dalej niż dwieście metrów od nas, samochód osobowy, jadący zresztą wcześniej przed naszym autobusem. Małżeństwo z dziećmi, zachowując się dość hałaśliwie zbierało grzyby. Na nas, pracujących łopotami, mówiącymi przecież w obcym języku, w ogóle nie reagowali.

Młodziejowski poinformował o odkryciu Turkiewicza *ex post*, wtedy, gdy przedmioty zostały zabrane przez ambasadora Cioska, a następnie specjalną pocztą przesłane do Polski. Czyżby, zastanawiałem się, Turkiewicz o wszystkim wiedział wcześniej? A może za dziwnym uśmiechem usiłuje ukryć jakąś swoją porażkę?

Następnego dnia o ósmej rano wyjechaliśmy do Smoleńska. Po południu w Katyńniu msza żałobna, pogrzebanie w wykopie nr 1 małej trumny ze szczątkami. Prace sondażowo-ekshumacyjne dobiegły końca.

Przed środowiskiem Rodzin Katyńskich, Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz władzami stoją trudne do rozstrzygnięcia pytania o zakres dalszych prac.

Nie wdając się w szczegółowe analizy, trzeba wyraźnie powiedzieć, że w Katyniu prace winny być kontynuowane. Konieczne jest odkrycie całego dołu śmierci nr 8 i ekshumowanie stamtąd pozostałych szczątków. Istnieje również potrzeba ustalenia, gdzie przeniesiono i pogrzebano od 170 do 200 zwłok polskich oficerów. Należy też dokładnie określić kontury dołów śmierci od 1 do 7, których nie udało się z braku czasu odnaleźć i skonfrontować ze źródłami historycznymi. Ewentualnie zajdzie potrzeba wyekshumowania pozostałych tam, być może w dolnych warstwach, ludzkich szczątków.

Niezbędne jest też odnalezienie bratniej mogiły nr 1 oraz dokładne ocenienie, na ile wszystkie mogiły zostały naruszone działaniami Rosjan po 1943 r. Nadal także nie wiadomo, gdzie się znajdowały i czy zostały zachowane groby dwóch generałów.

Jest jeszcze jeden mało znany wątek, który wymaga wyjaśnienia. 31 stycznia 1944 r. przyjechał do Katynia wraz z żołnierzami swojej Dywizji generał Zygmunt Berling. Towarzyszyła mu między innymi Wanda Wasilewska. Stanęli nad świeżo uformowaną mogiłą, złożyli kwiaty. Było to już po zakończeniu prac Komisji Burdenki. Żyją jeszcze żołnierze, którzy wówczas tam byli. Jeden z nich twierdzi, że nigdzie w okolicy nie dostrzegł żadnej z sześciu bratnich mogił z krzyżami postawionymi przez PCK w 1943 r. W którym miejscu znajdowała się ta nowa mogiła? Czy usypana ziemia rzeczywiście kryła zwłoki? A jeśli tak, to czy były one wydobyte przez Burdenkę z mogił, czy też z dołu śmierci nr 8? Dalsze działania powinny wyjaśnić tę dość tajemniczą okoliczność.

Warunki terenowe w Katyniu pozwalają na szeroki zakres prac ekshumacyjnych i od żądań ich przeprowadzenia, moim zdaniem, odstąpić nie wolno.

Sprawa staje się natomiast bardziej skomplikowana w Miednoje. Stopień trudności ekshumacji w szerszym zakresie jest wręcz ogromny. Z drugiej strony pozostawienie ludzkich szczątków w takim jak obecnie stanie, może u wielu wzbudzać zrozumiały sprzeciw. I zapewne z tego powodu nie będzie to łatwa do rozstrzygnięcia sprawa.

Często w tej relacji powracam do poprzedniej, z 1991 roku o pracach ekshumacyjnych w Charkowie i Miednoje. Napisałem wówczas:

„... do ludzi w sowieckich mundurach dopiero po kilku dniach w pełni dotarło, że mają do czynienia z delegacją wolnego, a nie podporządkowanego sobie kraju”.

Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Tak wiele, że odnosiłem wrażenie o niezmiennej aktualności wtedy zresztą również cytowanych, ale ze znakiem zapytania, słów: „zaborcze oko Kremla jest zdolne tylko do rozróżnienia między poddanymi i wrogami, i nic poza tym. Albo jesteś im posłuszny i w takim wypadku jesteś ich poddanym, albo odmawiasz posłuszeństwa i w takim wypadku jesteś wrogiem”.

Dziś od naszego stanowiska w sprawie Zbrodni Katyńskiej w dużej mierze zależy, czy zdołamy przekonać naszego wielkiego wschodniego sąsiada, że żadnego z tych dwóch rozwiązań nie akceptujemy. Oby ta świadomość dotarła do tych, na których spoczywa odpowiedzialność za polską rację stanu.